Malcolm Jameson

Inspekcja admiralska
(Bullard 1)

(Admiral's Inspection)

Astounding Science-Fiction, April 1940
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

© Public Domain (Life+70 Rule)
This text is translation of the novelette "Admiral's Inspection" by Malcolm Jameson. This etext was produced from Astounding Science-Fiction, April 1940.

Copyright for the translation is transferred by the translator to the Public Domain.

This eBook is for the use of anyone anywhere at no cost and with no restrictions whatsoever.

Całą kolekcję tłumaczonych przeze mnie utworów SF znaleźć można pod adresem:
http://archive.org/search.php?query=subject%3A%22WB_kolekcja%22&sort=-publicdate

— Co powiecie na szybką rundkę piłki meteorowej, przed jedzeniem?

— Nigdy nie odmawiam — uśmiechnął się znad poduszek wyściełających rufę, Kingman, oficer torpedowy.

— Świetnie — powiedział Fraser, zbierając porozkładane karty swojego pasjansa. Fraser był odpowiedzialny za urządzenia pomocnicze i kotły par rtęciowych.

— A co z tobą, Bullard?

Porucznik[1] Bullard był najnowszym przybyszem na *Polluksa*. Należał do załogi zbyt krótko, by inni mogli go dobrze poznać.

— Jasne, dlaczego by nie — odparł Bullard. Wsunął zakładkę do czytanej książki „Wskazówki dotyczące sterowania statkami. Krążowniki klasy Star" i ostrożnie odłożył ją na bok. — Nie wiedziałem tylko, że… — zawahał się, spoglądając w stronę oficera siedzącego na wiklinowym krześle w rogu mesy.

— Na *Polluksie*, panie Bullard — powiedział zastępca dowódcy, komandor Beckley, — utrzymywanie kondycji jest równie ważne, jak wszystko inne, co się robi. Jeśli ma pan skłonność do dzielenia włosa na czworo w kwestii przepisów, uspokoję pana co do tego. Zostaje pan odkomenderowany do gry. Ma pan to więc oficjalnie.

Bullard zarumienił się lekko na sugestię, że mógłby być prawniczym pedantem, zmorą statków od niepamiętnych czasów. Ale komandor Beckley uśmiechnął się przyjacielsko. Nie o to mu chodziło; stosował własną metodę wprowadzania swojego najnowszego oficera w zasady służby na statku. To prawda, że oficerom nie wolno było opuszczać statku w trakcie lotu, ale pomimo przepisów Beckley nie widział żadnego powodu, by zmuszać ich do rezygnacji z codziennych ćwiczeń. *Polluks* krążył leniwie po obszernej orbicie wokół Układu Jowisza, a jego elektronowe dysze były zimne i ciemne. Patrolował w rutynowych celach kontroli ruchu. Zakaz wychodzenia za burtę był równie bezsensownym ograniczeniem, jak zakaz pływania na zakotwiczonym statku morskim.

— Myślę, że odrobina ćwiczeń, też by mi się przydała — ziewnął Chinnery, główny inżynier, przeciągając się leniwie. — Weźcie mnie również pod uwagę.

Główny oficer wachtowy, Moore, który zaproponował grę, lekko zmarszczył brwi. To zgłoszenie zaburzyło równowagę; pięciu ludzi tworzyło nierówne drużyny, a nie było nikogo innego wolnego. Odwrócił się do pierwszego z pytaniem na ustach, ale Beckley pochylił się i nacisnął przycisk statkowego telefonu, łącząc się z Centralną Sterówką.

[1] Idąc za tradycją tłumaczeń w fantastyce naukowej, nazwy wszystkich stopni wojskowych w marynarce, tłumaczę w sposób dosłowny. Pamiętać jednak należy że w opowiadaniu tym pochodzą one z marynarki Stanów Zjednoczonych. Tak więc stopień Bullarda „porucznik" – Lieutenant – zgodnie z obecnie obowiązującym porozumieniem standaryzacyjnym NATO, STANAG, odpowiada polskiemu stopniowi kapitana marynarki. „Kapitan" to tytuł kapitana statku, ale w sensie rangi wojskowej – Captain – odpowiada polskiemu stopniowi komandora. „Komandor" – Commander – to odpowiednik komandora porucznika itp. (przyp. tłum.).

— CS? Dajcie mi oficera dyżurnego. Carlson? Właśnie rusza mała rundka gry w piłkę meteorową. Potrzebują szóstego. Wchodzisz w to. Wskakuj w skafander i zamelduj się u pana Moore'a koło włazu na pokładzie łodzi. Przejmę służbę na czas trwania meczu.

Telefon rozłączył się z kliknięciem. Pierwszy uniósł wzrok.

— Chciałeś się o coś zapytać, Moore?

— Ależ nie, sir. To znaczy, dziękuję, sir.

— Pół godziny — uśmiechnął się pierwszy, wstając by udać się do Centralnej Sterówki, aby zmienić Carlsona.

Bullard rozjarzył się w duchu. Co za statek! Nic dziwnego, że był uważany za najszczęśliwszy dom dla marynarza, we flocie kosmicznej. Czysty, w każdej chwili gotów do akcji, ale przyjazny dla ludzi. Z tego, co widział, oficerowie i załoga byli jak jedna wielka rodzina. Dyscyplina była idealna – ale niewidoczna. Można by ją określić niemal jako dobrowolnie sobie narzucaną. W ciągu tych kilku dni, od kiedy był na pokładzie, Bullard wyczuł już różnicę między duchem panującym na tym dziarskim krążowniku pierwszej linii, a widocznym na przestarzałym rezerwowym stawiaczu min, który właśnie opuścił. Jednak dopiero ten incydent pozwolił mu zrozumieć, dlaczego tak było. To była różnica w osobowości tych, którzy dowodzili obydwoma statkami.

Nie żałował teraz opuszczenia starej *Azji*, nawet jeśli był jej głównym inżynierem, a tutaj był tylko młodszym oficerem. Kiedy przypomniał sobie jej wścibskiego jak stara baba kapitana i niekończące się kłótnie w mesie, zdał sobie sprawę z tego, że cieszy się, iż się stamtąd wyrwał. Natomiast kapitanem *Polluksa* był Mike Dongan, powściągliwy i pełen rezerwy, ale doskonały dowódca i niezmiernie sympatyczny człowiek; jego pierwszy, pomimo roztaczanej przyjaznej aury, utrzymywał statek zgodnie z surowymi normami działania; oficerowie zachowując pozę nonszalanckiej obojętności, sumiennie wykonywali swoje obowiązki; w rezultacie załoga statku była niezwykle lojalna. Wszystko to razem, składało się na ten podstawowy element „dobrego” statku – esprit de corps – czegoś dla czego człowiek mógł pracować, za co mógł walczyć, za co mógł umrzeć. W kroku Bullarda pojawił się nowy rytm, kiedy pospieszył korytarzem, aby założyć na czas gry lekki skafander.

Udał się na pokład łodzi i wychodząc ze śluzy powietrznej na szeroką płetwę, był pod wrażeniem rozmiarów ogromnego statku. Jego kadłub wznosił się stromo ku górze, oddalając się łukiem od niego, szary w słabym świetle maleńkiego słońca. Po raz pierwszy zobaczył rząd wnęk wpuszczonych w burtę okrętu, które chroniły łodzie. Jak wiedział, były one używane do lotów rozpoznawczych na asteroidach, lądowania na obszarach zbyt nierównych aby opuścić na nie statek, do drobnych poszukiwań lub do wypraw ratunkowych. Krążowniki klasy Star, zaprojektowane do służby na wszystkich planetach, wyposażone były w płetwy pionowe i poziome, które stabilizowały je podczas wchodzenia w

atmosferę, a te poziome stanowiły przy okazji idealne pokłady do lądowania na nich łodzi.

Bullard zauważył, że pozostali gracze byli już zgromadzeni na skraju płetwy, a za nimi dwóch drobnych ganimediańskich chłopców mesowych, zmagało się z przysadzistą sportową haubicą.

Kiedy szedł w ich stronę, wystrzelili z niewielką prędkością pierwszą z dwóch bomb lucyferyny, i po chwili już oba pociski rozpadały się, tworząc bladozielone gwiazdy, oddalone o kilka mil od siebie, i kilka mil od nich – bramki do gry.

Do czasu zanim dołączył do Frasera i Kingmana, po prawej stronie, chłopcy mesowi załadowali do haubicy kulę pokrytą mezotorium[1]. Wszystko było gotowe do rozpoczęcia gry.

Na sygnał Moore'a jeden z Ganimedan szarpnął za linkę i świecąca kula została wyrzucona w przestrzeń, dokładnie między bramkami. W tej samej chwili sześciu graczy wystartowało, mknąc za nią w szybkim pościgu, wyrzucając za siebie cienkie smugi ognia. Dziesięć sekund później przestrzeń na lewo od statku i powyżej niego zmieniła się w labirynt smug przeplatających się płomieni, gdy gracze zygzakowali tam i z powrotem, próbując utrzymać piłkę wystarczająco długo, aby popchnąć ją w kierunku jednej z powoli oddalających się bramek.

Komandor Beckley obserwował ogniste loty z żywym zainteresowaniem. Piłka meteorowa, pomyślał, patrząc na wizjer w CS, była doskonałą grą dla ludzi kosmosu. Działała dobrze na mięśnie, ponieważ chociaż gracz nic nie ważył, zmuszony był nieustannie ekwilibrystycznie wykręcać całe ciało, tak by manipulować elastyczną, szarpiącą dyszą rakiety i nadal mieć wolną rękę w celu odparcia przeciwników lub odbicia piłki dalej. Ale znacznie bardziej korzystne było kształtowanie u graczy poczucia trójwymiarowej orientacji, którą wymuszała gra, oraz zdolności oceny reakcji na impulsy odrzutu. To wyczucie akcji i reakcji w czasie, stawało się niemal instynktowne, wyrabiając w graczu cechę, która jest tak potrzebna w sterowaniu statkami kosmicznymi – to nieuchwytne coś, określane jako czucie statku. Człowiek posiadający tę umiejętność potrafiłby w razie potrzeby sterować statkiem z zawiązanymi oczami albo bez przyrządów.

Beckley dwukrotnie zaobserwował, jak cienka płomienista smuga przebija się przez chłodny, zielony blask lucyferynowego znacznika bramki, wywołując za nim kolejne podobne do błyskawic rozbłyski. Oznaczało to, że jedna z drużyn zdobyła dwa gole – niezły wynik jak na tak krótki czas. A było to nietypowe, bo choć wśród Polluksowców[2] było wielu dobrych zawodników, rzadko trafiali się doskonali. Beckley słusznie domyślał się, że to Bullard strzelił te bramki, bo bez niego obie drużyny oficerskie były zbyt wyrównane.

---

[1] Każdy wynik radioaktywnego rozpadu w szeregu torowym. Pierwszym jest rad 228, drugim aktyn 228, itd. Ostatnim jest stabilny ołów 208 (przyp. tłum.).

[2] Nieprzetłumaczalna gra słów. Autor używa tu humorystycznego określenia „Polliwogs”, co z jednej strony jest nawiązaniem do nazwy okrętu „Polluks”, a z drugiej oznacza kijankę, albo slangowo nieopierzonego żeglarza który nie przekroczył równika (przyp. tłum.).

Zachichotał, gdy nagle zdał sobie sprawę, że teraz Polluksowcy mogą odebrać kolejne trofeum Kastorowcom[1], swoim odwiecznym rywalom z siostrzanego krążownika *Kastor*. Sięgnął po nadajnik telewizji dalekiego zasięgu, pod wpływem impulsu, aby natychmiast połączyć się z Warlockiem i rzucić jego bandzie wyzwanie, kiedy następnym razem na siebie wpadną, ale odwracając się od ekranu wizyjnego, zauważył że ludzie w sterówce bez słowa prężą się w pozycji na baczność. Do środka wszedł kapitan.

Beckley był zdumiony poważną miną starego, bo o ile wiedział, wszystko było w porządku. Na początku kapitan nic nie powiedział. Rozejrzał się tylko w zamyśleniu po pomieszczeniu sterówki i widząc swojego pierwszego na stanowisku dowodzenia oraz żadnego oficera pokładowego koło niego, popatrzył na ekran wizyjny.

— Nadaj sygnał wezwania — polecił kapitan Mike. — A potem to przeczytaj.

Na skinienie pierwszego, marynarz wcisnął przycisk na tablicy sygnalizacyjnej. Zawodzące buczenie, które w odpowiedzi odezwało się w hełmach goniących się na zewnątrz oficerów, poinformowało ich, że są wzywani na pokład, wszyscy, natychmiast. Komandor Beckley wziął podany mu komunikat z dłoni kapitana i przeczytał go, zauważając, że kapitan Mike obserwuje go uważnie, nie dając najmniejszej wskazówki, o czym myśli.

— No dobrze, przeczytałem to — powiedział Beckley. — O co chodzi, to jakiś żart?

— Żart! — parsknął kapitan. — Najwyraźniej nie słyszałeś o skutkach inspekcji na *Canopusie*. Czy zdajesz sobie sprawę, że Joey Dill został pozbawiony dowództwa i na pięć lat utknął w ciemnościach Urana, jako dowódca tej zawszonej placówki? Że wszystkich jego oficerów czeka sąd wojenny pod zarzutami od „rażącej nieefektywności” po „zawinione zaniedbanie”? Że sam *Canopus* stał się praktycznie wrakiem i został wysłany do stoczni na Marsie, w celu przeprowadzenia przeglądu i całościowych napraw? Nie ma w tym nic zabawnego. A teraz wygląda na to, że my jesteśmy następni.

Komandor Beckley ponownie popatrzył na niewinnie wyglądającą wiadomość, którą trzymał w ręku. Wciąż wyglądała ona jak jakiś żart, którego pomysłodawcą był ktoś z personelu admirała. Brzmiała bowiem:

Od dowódcy Patrolu Jowiańskiego do kapitana *Polluksa*.

Proszę przygotować się do Ogólnej Inspekcji Sprawności 14:00 SST 14 maja 8940 roku ziemskiego. Inspekcję przeprowadzi

[1] I znów gra słów. W oryginale „Castor Beans”, przez nawiązanie do nazwy okrętu Kastor, ale oznacza to również rącznika pospolitego, z którego nasion wytwarza się olej rycynowy (przyp. tłum.).

personel *Kastora* zgodnie z Reprintem Archiwalnym USN-1946-FT-53.

ABERCROMBIE.

— Albo zwariowałem – ale nie przyznaję się do tego — powiedział powoli Beckley — albo oznacza to, że zostaniemy sprawdzeni przez załogę *Kastora*.

— Zgadza się — oczy kapitana błyszczały.

— A jeśli to nie jest jakiś żart, dalej jest napisane, że zrobią to zgodnie z jakąś starożytną praktyką. Na cienie Hannona i Nelsona! Czy oni na tych swoich triremach zrobili kiedykolwiek coś, co miałoby zastosowanie do nas?

— Zasady sztuki wojennej niewiele się zmieniły przez tysiąclecia — zauważył sucho kapitan Mike. — a co więcej, twoja wiedza historyczna jest nieco mglista, Beckley. Fenicjanie żyli znacznie wcześniej od Amerykanów. Ci drudzy byli dużo bardziej zaawansowani. Prawdę mówiąc, przypisuje się im wynalezienie pierwszego statku kosmicznego. W każdym razie nasza komisja admiralicji, która przegryzła się przez zapisy znalezione w wykopaliskach pod piątym poziomem w Waszyngtonie, uznała, że niektóre z ich praktyk były wystarczająco dobre do przywrócenia ich do życia. I oto skutek.

— To znaczy, jak rozumiem, mamy zostać poddani inspekcji według jakiegoś systemu wymyślonego przez Johna Paula Jonesa, Simsa, Leahy'ego lub jakiegoś innego dawno zmarłego starego wilka morskiego? — Beckley był wdzięczny, że wygrzebał w głowie nazwiska kilku dawnych Ziemian. Było to grzeczne odrzucenie komentarza kapitana na temat stanu jego wiedzy historycznej.

— Dokładnie.

— W porządku — powiedział oficer. — W takim razie będę gotowy. Właściwie już teraz jesteśmy gotowi. Wie pan, że inspekcje nigdy nas nie martwiły.

— Nigdy wcześniej nie byliśmy tak naprawdę kontrolowani — odparł ponuro kapitan. — Zejdź do mojej kabiny, a dam ci kopię tego reprintu.

Zazwyczaj komandor przywitałby powracających piłkarzy jakimś radosnym uprzejmym komentarzem, ale chociaż widział, jak wtłaczają się do mesy, weseli i rumiani po energicznych ćwiczeniach i orzeźwiającym prysznicu, nie odezwał się do nich ani słowem. Był głęboko zatopiony w lekturze antycznego dokumentu ekshumowanego ze skarbców pod starym miastem w Waszyngtonie. Im głębiej się w niego wczytywał, tym bardziej ulatywało jego przekonanie, co do gotowości statku. Na początku miał pewne problemy z przestarzałą terminologią, ale w miarę jak przedzierał się przez nią po omacku, zaczęły pojawiać się przebłyski ogromnych trudności, jakie przed nim stały.

W końcu siedział zdumiony, podziwiając pomysłowość ludu, który od dawna bezmyślnie uważał za prymitywny. Nic dziwnego, że ich statki zachowywały się tak dobrze podczas wielkiej Ostatniej Wojny w XX wieku. Niesamowita wytrzymałość, jaką wykazywały, wynikała z faktu, że były przygotowane – przygotowane do wszystkiego, czy byłby to wypadek, uszkodzenie w akcji, czy też katastrofa naturalna. Dopóki jakikolwiek statek z tego wieku pozostawał na powierzchni, jego załoga nadal wykorzystywała go do pracy i do walki. A teraz dowiedział się, dlaczego. Znali się na swojej robocie. System, którego przestrzegali, zmuszał ich do tego. Stąd niedawne przyjęcie tego systemu przez Admiralicję.

Beckley przy kolacji siedział bardzo cichy i wyraźnie ponury. Był zajęty ocenianiem samego siebie – oraz Chinnery'ego, Moore'a, Frasera i reszty. Jak dobrzy byli, patrząc na wszystkie zdobyte nagrody? Kwaśno przypomniał sobie, jak zdobyli pierwsze miejsce w konkursie akceleracji. On i Chinnery dopilnowali, aby bezpieczniki zostały zalicowane, dla każdego zabezpieczenia na statku zrobili obejście grubym miedzianym kablem. Razem z lekarzem pokładowym dopilnowali, żeby ludzie zostali po uszy odurzeni gravonolem. Dokonanie tego wyczynu zajęło im cztery dni specjalnych przygotowań. Kompletnie sztuczna rzecz! Pfff! To był pusty triumf, teraz, gdy szczerze o tym pomyślał w świetle tego, co właśnie przeczytał.

Po kolacji, przy cygarach, próbował przekazać swoim podwładnym część tego, czego właśnie się dowiedział i co ich będzie czekać. To nie było proste. *Polluks* już od dawna uważany był za modelowy statek i wśród większości jego oficerów oraz praktycznie całej załogi panowało przekonanie, że może zrobić wszystko, co każdy inny statek, i to zrobić to szybciej i płynniej niż jakikolwiek inny statek latający w przestworzach.

— I co z tego? — zaczął dopytywać się Chinnery kiedy dowiedział się, że w czasie trwania testów Pete Roswell z *Kastora* będzie cały czas u jego boku, obserwując i notując wszystko co robi, i że ocena po ocenie, każdy człowiek z załogi maszynowni zostanie skontrolowany przez swojego odpowiednika z siostrzanego krążownika. — Niech sobie przychodzą. Niech patrzą. W końcu się czegoś nauczą. Co mnie obchodzi, co zobaczą? Moje zużycie uranu, przyspieszenie za przyspieszeniem, jest najniższe w całej gwiezdnej flocie. Nie mieliśmy awarii systemów pomocniczych od ponad roku, a to rekord dla każdego człowieka w służbie.

— I na tym właśnie polega problem — zauważył z naciskiem Beckley. — Jesteś za dobry. To sprawia, że jesteś zarozumiały i zbyt wiele rzeczy przyjmujesz za pewnik. A co byś zrobił, gdybyś miał awarię – powiedzmy gdybyś musiał włączyć swoje generatory rezerwowe?

— Jasne – zawsze mogę to zrobić. Przecież działają. Oba zestawy.

— A co jeśli przestaną działać ?

— No cóż – na kadłubie są ogniwa selenowe, tylko…

— No właśnie. Tylko że tutaj, koło Jowisza, nie ma zbyt wiele energii słonecznej i nie sprawdzałeś ich odkąd opuściliśmy Stację na Wenus. Przypuśćmy jednak, że udało ci się je włączyć i wyciągnąłeś z nich trochę energii, a potem się posypały, co wtedy?

— Na miłość… Przecież, oczywiście, są jeszcze akumulatory.

— „Akumulatory”, to niezłe — warknął pierwszy. — W ostatnim raporcie kwartalnym, o ile mnie pamięć nie myli, jest informacja że znajdują się w 404D, w twoim magazynie. Jak myślisz, ile amperów mógłbyś z nich wyciągnąć?

Chinnery zapadł w ponurą ciszę. Nigdy nie widział pierwszego w takim nastroju. Beckley odwrócił się do Frasera i zapytał nagle:

— A co zrobimy, jeśli zepsuje się telefon statkowy?

— Przejdziemy na teletekst.

— A potem?

— Sygnalizator i system telegraficzny.

— A potem?

Fraser wyglądał na zdziwionego.

— Jeśli stracimy zasilanie na sygnalizatorach, można je obsługiwać ręcznie. — Wzruszył ramionami. — Potem, jeśli pan nalega, zawsze są posłańcy.

— A dlaczego nie tuby głosowe? — zapytał Beckley, unosząc brew.

— Tuby głosowe? — powtórzyło kilka głosów. Inni roześmiali się. — Admiralicja zupełnie zdziczała.

— To właśnie powiedziałem. Wierzcie lub nie, panowie, ale *Polluks* jest wyposażony w kompletny system tub głosowych, gazoszczelnych osłon i innych tego rodzaju rzeczy. Ale nikt z was o tym nie wie. Prawdopodobnie je zamalowaliście, albo wypchaliście starymi skarpetami lub listami miłosnymi. A teraz wszyscy się stąd wynoście i zbadajcie swoje części statku. Wróćcie o północy, a powiem wam więcej o tej inspekcji i co musimy zrobić, żeby się do niej przygotować.

Grupa oficerów wróciła do mesy o dwunastej, niespecjalnie oświecona przeprowadzonymi inspekcjami. Wiedzieli, do czego zmierza komandor, ale większość z nich uważała, że zna już wszystkie odpowiedzi. Na okręcie bojowym zawsze istnieje wiele alternatywnych sposobów zrobienia tego samego, ponieważ w ogniu walki wszystko może pójść źle i nie ma czasu na naprawy. Ale większość z nich już wcześniej wiedziała czym dysponuje, z wyjątkiem oczywiście Bullarda, który był nowy. Był jedynym z nich, który miał jakieś wątpliwości, co do swojej gotowości do przejścia dowolnego testu, jaki można było przed nim postawić.

Rzucając dowcipy, ale jednocześnie nieco zdziwieni stosunkiem pierwszego, zebrali się wszyscy. Komandor Beckley wszedł i rzucił na stół mesy reprint wczesnoamerykańskiego dokumentu. Moore przeszedł przez pomieszczenie i przekartkował go, zwracając uwagę na jego tytuł. Był to „Raport Głównego Arbitra, Inspekcja gotowości bojowej USS *Alaska*, wiosna 1940”.

— Mówiłem wam, że mamy zostać skontrolowani przez *Kastora* — zaczął Beckley. — Nie powiedziałem wam jednak, że później my też ich sprawdzimy.

— Juupi! — wrzasnął Fraser. — Zawsze chciałem zobaczyć, jak ustawili swój główny skraplacz. To ósmy cud świata, jak to jest połączone.

Przez twarz Chinnery'ego przemknął wyraz zadowolenia. W jego ocenie Pete Roswell, inżynier *Kastora*, był nadętym bufonem.

Moore także uśmiechał się od ucha do ucha, pełnym zadowolenia uśmiechem kota kontemplującego kanarka. Freddy McCaskey, nawigator i główny oficer wachtowy rywalizującego statku, był również jego rywalem do ręki pewnej młodej damy mieszkającej w Ursapolis. Idealne starty i lądowania Freddy'ego w porcie kosmicznym, od dawna irytowały Moore'a, gdyż Moore wiedział, nawet jeśli nie dotarło to do uszu admirała, że są one możliwe tylko dzięki pewnym nieregulaminowym gadżetom przykręconym do spodu stojaka na mapy *Kastora*. Były one nieregulaminowe ponieważ były zawodne – nie można było liczyć, że wytrzymają pod wpływem wstrząsów w trakcie akcji. Moore miał ochotę objąć funkcję pozwalającą je oficjalnie ujawnić, i dzięki temu roztrzaskać nimb osławionej wyższości McCaskeya jako pilota statku.

Byli też inni, którzy mieli podobne plany obliczone na zburzenie spokoju ducha i samozadowolenia swych przyjacielskich rywali, sądząc po fali pełnych oczekiwania uśmiechów, która przetoczyła się po pomieszczeniu.

Wzrok Beckleya przemknął się po całej grupie, nie przegapiając niczyjej reakcji.

— Ach — westchnął, — a więc właśnie tak to odbieracie? Cóż, powiem wam jedną rzecz – dokładnie tak samo pomyśleli Kastorowcy. I nie zapominajcie, że najpierw to oni nas sprawdzają.

— Ale nie zrozumcie mnie źle. Nie będzie tu żadnej walki na śmierć i życie. Ale czy rozwinie się to w przyjacielską rywalizację z *Kastorem*, taką jaką lubimy, czy też w bagno wrednych złośliwości, nie będzie tu dużej różnicy. Ludzie z Kastora nie będą nas sprawdzać w sensie wydawania osądów; oni będą po prostu obserwować i rejestrować dane. To admirał dokonuje oceny. Ale mogę postawić ostatniego dolara, że niczego nie przegapią. Żyją i pracują na statku, który jest dokładnym bliźniakiem naszego, i działają według tych samych procedur. Znają nasze słabe punkty i wiedzą, jak je kryjemy, bo mają te same słabości i, jak sądzę, używają tych samych sztuczek. Możemy oszukać admirała, ale nigdy Kastorowca.

— Jak już wcześniej mówiłem, wszyscy pojawią się tutaj, od kapitana Allyna do szczura lądowego służącego jako pomocnik kucharza, a każdy z nich będzie miał w ręku stoper i notatnik. Zostaniemy sprawdzeni, stanowisko po stanowisku, na całym statku.

— Pomijając czynności wstępne, takie jak doprowadzenie wszystkiego do połysku, odpowiednie fryzury i tego rodzaju rzeczy – które nikogo z nas nie martwią – pierwszą rzeczą, jaka nam się przydarzy, będą ćwiczenia alarmowe. Będą one inne od tych które znamy. Amerykańska doktryna głosiła, że prawdziwym sprawdzianem działania w sytuacji alarmowej jest wystąpienie sytuacji alarmowej, a jedną ze szczególnych cech sytuacji alarmowych jest to, że pojawiają się one wtedy, kiedy najmniej się ich spodziewamy. Ponadto, to ludzie będący w tym czasie na wachcie będą musieli dać sobie z nimi radę. A to oznacza, że nie możemy sami wybrać najlepszych i najbardziej doświadczonych ludzi do ćwiczeń.

— **O**dbędzie się to w następujący sposób. Admirał poprosi o możliwość zapoznania się z naszą listą wacht. Przesunie palcem po nazwiskach i wybierze przypadkowo. To może być nawet Bullard…

Bullard skrzywił się. Nie spodobało mu się to „nawet", chociaż na statku był dopiero od trzech dni.

— I po prostu oznajmi: „Proszę wyznaczyć do tego porucznika Bullarda". Bullard będzie musiał przejąć pokład. Możemy wyruszyć godzinę później, nie wiedząc, co się dzieje, gdy nagle główny arbiter ogłosi: „Pożar w dolnym magazynie", „Kolizja penetrująca" lub jakikolwiek inny wypadek. Każdy członek zespołu *Kastora* uruchomi stoper, obliże ołówek i będzie przyglądał się człowiekowi, za którego odpowiada. Test będzie dotyczył nie tylko Bullarda, ale całej organizacji. Co do Bullarda, on jest jedynym dowodzącym i ani kapitan Dongan, ani ja, nie możemy mu doradzać, a reszta z was może tylko wykonywać wydane przez niego rozkazy. Cokolwiek zrobi, czy będzie to dobrze, czy źle, czy w ogóle nic nie zrobi, wszystko będzie zapisywane w notatnikach, razem ze sposobem wykonania tych poleceń.

— Powiedzmy, że ogłoszone zostaną następujące warunki: niewielki meteor przebił grodzie zderzeniowe oraz wyściółkę, i dotarł aż do kwater załogi. Jesteśmy w zwykłych warunkach przelotowych – to znaczy nie mamy na sobie założonych skafandrów. Czy nasze wewnętrzne włazy gazoszczelne były zamknięte i zabezpieczone? Jeśli nie były, tracimy powietrze na całym statku. Bullard bez wątpienia rozkazałby podjęcie działań zespołowi naprawczemu. Zespół naprawczy *Kastora* przejdzie z naszym zespołem przez śluzę pośredniczącą, wszystko notując. Czy śluza działała sprawnie? Jakiego rodzaju łatę założył zespół naprawczy i jak długo to trwało? Czy działali sprawnie, czy niezdarnie? Jak długo po tym, powietrze powróciło do przedziału? Czy łata przeciekała? Ile czasu upłynęło między alarmem a stanem „bezpiecznym"?

— Na podstawie tego, co powiedziałem, macie już chyba pewne pojęcie, jak dokładnie będziemy nadzorowani. Nie muszę chyba omawiać wszystkich innych ćwiczeń alarmowych ani ich możliwych wariantów. Rzeczą, którą należy wryć sobie w pamięć, jest fakt, że każdy z was może zostać wezwany do tego aby zająć się sytuacją i to bez uprzedzenia. Lepiej, żebyście wiedzieli jak to zrobić.

— Myślę, że będziemy wiedzieli — zauważył Moore, rozglądając się po pozostałych.

— Te testy są stosunkowo trywialne — kontynuował komandor Beckley. — To ćwiczenia bojowe mogą przysporzyć nam bólu głowy. Tam zarzucą nas stratami w ludziach i sprzęcie.

— Stratami?

— Tak – wyimaginowanymi wypadkami, awariami sprzętu, ofiarami śmiertelnymi. Wiecie, w walce dzieją się różne rzeczy. Wpadamy na miny. Uderzają w nas torpedy i pociski. Przeciążamy silniki i te palą się. Zacina się sterowanie. Ludzie zostają ranni i wypadają z ćwiczeń, a ktoś inny

musi wejść w ich buty i ciągnąć je dalej. Nasze termoskopy mogą się zepsuć. Tysiące rzeczy może pójść nie tak. Najważniejsze pytanie brzmi: co zrobimy, kiedy tak się stanie?

— Kapitan Allyn i jego oficerowie opracują harmonogram takich wydarzeń, starannie zaplanowany w czasie, i zwalą je nam na głowy, jedno po drugim. Zrobią to tak realistycznie, jak to tylko możliwe. Jeśli zostanie przyjęte, że nie działa główny system oświetlenia, nacisną na wyłączniki. Jeśli telefony ulegną awarii, rozłączą połączenia w centrali, a my nie będziemy mogli ich tknąć. Jeśli zostanie ogłoszone, że w jakimś przedziale pojawił się gaz, wypuszczą tam trochę gazu. Można się spodziewać te straty będą następowały w dużych ilościach i szybko, a wy będziecie musieli znać swoje tablice rozdzielcze i plany orurowania, od A do Z. To przetestuje w najwyższym stopniu waszą wszechstronność i zimne głowy.

— Powinni być w stanie wymyślić parę niezłych awarii — wycedził Chinnery, a kilku innych parsknęło śmiechem. Zaledwie sześć miesięcy temu *Kastor* połamał łopatki głównej turbiny pomocniczej, co spowodowało poważny pożar tablicy rozdzielczej podczas jego ostatnich ćwiczeń bojowych. Nie tylko, niedawno podczas startu zablokował się na nim deflektor odrzutowy, i okręt wirował przez ponad piętnaście minut jakieś osiem mil nad Europa City, zmieniając się w gigantyczny ognisty kołowrotek, wypluwający niebieski ogień. To przyniosło mu zjadliwą naganę ze strony dowódcy Sił Patrolowych.

— I będą — stwierdził ponuro Beckley.

Rozległo się parę śmiechów, ale słychać było w nich ton niepokoju. Odkąd pierwszy wspomniał o tubach głosowych, ich samozadowolenie zaczęło maleć. Ku swemu zaskoczeniu znaleźli tuby głosowe. Co jeszcze znajdowało się na statku, o czym nie wiedzieli?

— Myślę, że powiedziałem już o wszystkim — oznajmił komandor Beckley, wstając. — To jest, o wszystkim oprócz jednego elementu – ofiar w ludziach. Z tego wynika — i postukał palcem w archiwalny reprint — że nasi dowcipni przodkowie uważali za wyjątkowo zabawne zabicie na początku gry kapitana, i zazwyczaj niezwłocznie postępowało za tym pozbycie się pierwszego oficera. W tym raporcie zabili prawie wszystkich oficerów w ciągu pierwszych pięciu minut, a wraz z nimi wielu członków załogi.

— Od chwili, gdy arbiter ogłosi nas za martwych, nie wolno nam powiedzieć ani słowa, bez względu na to, co się wydarzy. Nasza organizacja musi działać bez nas. To może być dobry test, ale wydaje mi się, że przyglądanie się temu będzie dosyć bolesne. Rekomenduję wam poświęcenie nieco większej uwagi waszym przyszłym ćwiczeniom. Ale przede wszystkim każdy z was musi być w każdej chwili przygotowany, aby objąć dowodzenie nad całym statkiem.

— Zanim je obejmiemy — zauważył z niepokojem Kingman — będzie on praktycznie wrakiem – podziurawionym wyimaginowanymi dziurami, płonącym, z wyłączonymi światłami, zatrzymanymi generatorami, zablokowanymi urządzeniami sterującymi, pozbawionym dwóch trzecich załogi i...

— No to, zrozumieliście już o co chodzi — uśmiechnął się Beckley, odprężając się po raz pierwszy, odkąd kapitan przerwał mecz piłki meteorowej. — Dobranoc, chłopcy – miłych snów!

— **N**iech się pan nie przejmuje, panie Bullard — powiedział Tobelman, bosman jego wieżyczki, następnego ranka, po ogłoszeniu stanu gotowości bojowej. — W tej wieżyczce nie ma niczego, z czym jakoś nie moglibyśmy sobie poradzić.

Ale Bullard przejmował się, bo wiedział, że jest zielony. Ale przejmował się, starając się coś z tym zrobić. Każdego dnia z trzech tygodni, które upłynęły między ostrzeżeniem pierwszego a czasem wyznaczonym na inspekcję, rzucał się w wir uczenia się statku oraz jego skomplikowanych mechanizmów. Za dnia czołgał się przez włazy dostępowe i ewakuacyjne, śledząc kable i ciągi; w nocy przeglądał schematy elektryczne i układy rur. Nauczył się, jak rozkładać i montować mechanizmy zamków swych dział, jak ręcznie wycelować wieżyczkę i jak ładować w ciemnościach. Zapoznał się z obsługą swego rezerwowego termoskopu i codziennie przez godzinę ćwiczył na starym Ploterze[1] Mark XII zainstalowanym w jego kabinie kontrolnej, aby móc utrzymać ogień w przypadku przerwania łączności z CS.

W podobny sposób sprawdził swoje podręczne magazyny zasilające i dowiedział się wszystkiego o znajdujących się w nich przeciwpożarowych instalacjach natryskowych i kanałach wentylujących dymy. Poszedł dalej i zapoznał się z magazynami rezerwowymi, z zapasami trotylu, azotanu amonu i pojemników ze sproszkowanym aluminium. Swojego amonu nie mieszał, dopóki nie będzie mu potrzebny, jako środek ostrożności aby zmniejszyć zagrożenie pożarowe.

Pod koniec drugiego tygodnia nabrał poczucia pewności siebie. Przynajmniej w swoim małym dziale znał się już na rzeczy. A im dłużej pracował z Tomlinsonem, tym lepiej zdawał sobie sprawę, że ma za sobą wspaniałą grupę chłopców. Czego on nie będzie potrafił zrobić, zrobią oni. Największe obawy miał co do swych obowiązków oficera pokładowego. Jako oficer wachtowy regularnie na swoich zmianach dowodził okrętem, a im dłużej przemierzał jego zakamarki, tym większe wrażenie wywierał na nim ogrom zadania, które sobie postawił – aby dowiedzieć się wszystkiego o statku.

Każdy metr sześcienny jego olbrzymiej przestrzeni zawierał jakąś maszynę lub urządzenie elektryczne, o wielu z nich posiadał jedynie mglistą wiedzę. *Polluks* należał do zupełnie innej generacji okrętów niż stara *Azja*, pozostałość po trzeciej wojnie marsjańskiej, od dawna już czekająca na złomowanie.

Na *Azji* był głównym inżynierem i jako taki znał każdą sztuczkę starej, kiepskiej balii, ale kiedy wchodził do przedziałów inżynieryjnych Polluksa,

[1] W tym przypadku chodzi oczywiście nie o ploter w sensie ogólnym, tylko o urządzenie kreślące kąty, linie, trajektorie ostrzału na mapach (przyp. tłum.).

stawał pokornie wobec jego błyszczących skomplikowanych mechanizmów, niemal oszołomiony szeregiem dziwnych urządzeń. Pokazano mu gniazdo skupionych paraboloidalnych reflektorów napędowych wraz z ich cyklotronowymi wzbudnikami. Prześledzono dla niego smukłe rury, które doprowadzały sproszkowany uran 235 do ogniskowych punktów rozpadu, i wyjaśniono, jak obsługiwać rozpylacze chłodzące ciekłym wodorem. Fraser oprowadził go po bojlerowniach i naszkicował mu cykl wymiany ciepła, zaczynając od ciekawie zaprojektowanych atomowych skrzyń ogniowych, a kończąc na kondensatorach pary na zewnątrz kadłuba. W innym miejscu obejrzał turbiny par rtęci i monstrualne generatory, które one napędzały. W całym tym rozległym dziale była tylko jedna sekcja, która poruszyła w nim znajomą strunę. I odkrył, że była ona zamknięta.

— Och, to? — zadrwił Chinnery, kiedy Bullard zastukał w zapieczętowane drzwi. — To zestaw starych silników napędzanych tlenem i wodorem. Rezerwa, wiesz. Za ten zabytek odpowiada, jak sądzę, jakiś dziwak z pracowni projektowania okrętów w admiralicji – przypuszczalnie powinny zostać one użyte, kiedy znajdziemy się w jakiejś skrajnej sytuacji.

Chinnery zaśmiał się krótko i odwrócił, ale Bullard uparł się. Chciał je obejrzeć i sprawdzić ich przewody paliwowe. Przynajmniej znalazł w tej ultra-maszynowni coś, co mógł zrozumieć na pierwszy rzut oka.

— Zapomniałem, że przyszedłeś do nas z Floty Krabów — powiedział Chinnery z żartobliwymi przeprosinami — ale skoro o to poprosisz, obejrzyj sobie te wspaniałe silniki.

Chinnery skinął na marynarza pierwszej klasy, specjalisty od silników rakietowych, który stał w pobliżu.

— Pokaż panu Bullardowi tego trupa w naszej szafie — polecił Chinnery i wyszedł, a jego nieskazitelny uniform stanowił niemy wyrzut dla wysmarowanego smarem kombinezonu Bullarda.

— Ja też byłem we Flocie Krabów — wyszczerzył się Benton, specjalista od rakiet, popychając drzwi. — Na tych statkach klasy Star, nie cenią za bardzo tych starych silników na paliwo ciekłe, ale pan i ja wiemy, co potrafią one zdziałać. Przynajmniej można na nie liczyć. Te atomowe napędy są w porządku, gdy działają, ale są zbyt chimeryczne, żeby mi odpowiadały. Ale jest pan pierwszym oficerem, jakiego spotkałem na *Polluksie*, który by chciał chociaż rzucić okiem na te rakiety – nasze wiosła, jak je nazywa pan Chinnery.

Bullard zaśmiał się na głos. Siły Patrolowe były dziwaczną mieszanką ultranowoczesności i starych zwyczajów, chodzącą schizofrenią – gdzie praktyczni ludzie o psychologii dawnych żeglarzy, korzystali z tych wszystkich nowoczesnych gadżetów i nienawidzili ich, kiedy je używali; zaś uporządkowani, inteligentni naukowcy stosowali archaiczne terminy morskie do nazywania swych najnowszych osiągnięć.

Innym razem, Bullard zapuścił się do wielkiego „pęcherza” nosowego i sam obejrzał układ, w którym rozpraszane i absorbowane były uderzenia zabłąkanego żwiru kosmicznego i małych brył. Pod fałszywą płytą dziobową ze stali wanadowej, znajdował się obszerny forpik wypełniony stalową wełną, i nieregularnie porozrzucanymi luźno połączonymi płytami rozdzielonymi zestawami spiralnych sprężyn. Ogólnie rzecz biorąc, przedział antykolizyjny przypominał gigantyczny materac sprężynowy ułożony na dziobie statku. Nie można było zapobiec przebiciom przez kosmiczne bryły uderzające w płytę dziobową, ale każda z wewnętrznych przegród, przez które przechodziły, trochę je osłabiała, zmniejszając siłę uderzenia i spowalniając kosmiczne pociski o pewien procent. Tylko masywne ciało poruszające się ze stosunkowo dużą prędkością mogło utrzymać wystarczającą prędkość, do przebicia się przez ostatnią przegrodę do kwater załogi.

Za kwaterami załogi znajdowała się pancerna przegroda osłaniająca serce statku – ogromny potrójny stabilizator żyroskopowy, który stanowił jądro owalnego statku kosmicznego i wyznaczał położenie środka ciężkości statku. On z kolei wspierany był przez masywną stalową kolumnę oporową, wychodzącą bezpośrednio z łuków utrzymujących silniki napędowe, skupione wokół tej kolumny, a pod osłoną opancerzonego stabilizatora leżało pomieszczenie Centralnej Sterówki, Nawigacja, magazyny z materiałami wybuchowymi i co bardziej niestabilnymi środkami chemicznymi. Po całym okręcie porozrzucane były różne urządzenia pomocnicze – wentylatory obiegu powietrza, urządzenia do jego regeneracji, konwertery śmieci oraz cała rzesza niezliczonych silników do wszystkich możliwych celów.

Bullard był wyczerpany psychicznie i fizycznie, kiedy zakończył swe rozległe badania, ale poczuł się lepiej, że to zrobił. W czasie swoich pielgrzymek niczego nie przeoczył, zwiedzając magazyny i przedziały maszynowe, oglądając uchwyty bombowe do bombardowania na planetach, zagłębione w płozach do lądowania, i selenowe generatory słoneczne w górnych częściach kadłuba. Wiedział, że pozostało wiele szczegółów, które nie w pełni zrozumiał, ale najważniejsze było to, że odzyskał swoją zwyczajową pewność siebie. Nie czuł się już obcy na statku.

Inni też nie próżnowali. Codziennie we wszystkich działach odbywały się intensywne ćwiczenia i na ile było to tylko możliwe, starano się przewidzieć i przećwiczyć wszelkie możliwe sytuacje alarmowe.

— Jeśli ci Kastorowcy wpadli tylko na połowę moich pomysłów — stwierdzi Kingman pod koniec męczącego dnia przygotowań, — to ta inspekcja pójdzie gładziutko. Ale, do diabła! Mnie sumienie nie boli. Jeśli pozostało coś nieprzećwiczone, to wina mojego braku wyobraźni – nic poza tym.

— Taaa — mruknął Chinnery. Chinnery zrobił się trochę drażliwy na punkcie nadchodzącego testu. Pierwszy kazał mu opróżnić starą akumulatorownię i ponownie zainstalować w niej baterie.

— Mówią — zawtórował inny, — że Freddie McCaskey każe Moore'owi lądować statkiem na szczycie tego skalistego grzbietu na północnym krańcu Io, przy niedziałających dwu dolnych silnikach. Żeby było trudniej, umieści jajko na stojaku z mapami. Jeśli spadnie i rozbije się przy uderzeniu, ślad będzie musiał zostać na zawsze.

— To plotka, ty kretynie — skomentował Fraser - nikt nie wie, co na nas zwalą. Ale osobiście postawiłbym wszystkie moje pieniądze na starego *Polluksa*. Martwi mnie tylko...

I tak to trwało. Spekulacje toczyły się w każdym zakamarku potężnego krążownika przestrzennego. Nawet najniżsi stopniem na pokładzie rzucali się gorączkowo w hamakach, przez cały okres odpoczynku zwany „nocą", próbując wyobrazić sobie, jakie szalone rozkazy można by im wydać i co mają zrobić, kiedy je otrzymają. Jednak Polluksowcy byli zgodni co do jednego. Cokolwiek by się nie stało, jedyną widoczną reakcją, jaką będzie mógł ujrzeć każdy arbiter, będzie wesołe „Tak jest, sir". Absolutna zgodność była niemalże zaklęciem. Wszyscy zarzekali się, że w żadnym wypadku nikt z nich nie okaże cienia zaskoczenia ani konsternacji.

Nadszedł wreszcie ten doniosły dzień. Czysty jak wyszorowany pod prysznicem, wypolerowany i wymuskany, aż lśnił niemal bolesnym dla oka blaskiem, *Polluks* spoczywał dumnie na swym leżu w Ursapolis Yard. Do wtóru świszczących gwizdków, kolejnego zabytku wielowiekowej tradycji, żwawy mały admirał wszedł na pokład z depczącym mu po piętach sztabem, na pierwszy etap inspekcji.

Jego podróż przez nieskazitelnie czyste przedziały przebiegła szybko. Chociaż niewiele szczegółów wnętrza mogło umknąć jego przenikliwym spojrzeniom, nie robił notatek ani nie zatrzymywał się w żadnym miejscu, aby coś skomentować. Dopiero po zakończeniu inspekcji przerwał milczenie.

— Statek *wygląda* dobrze — powiedział tajemniczo do kapitana Dongana. Po czym udał się na lunch do swojej kwatery w porcie, wysyłając wiadomość, że wróci za dwie godziny na pozostałą część ćwiczeń.

— Łatwizna — mruknął ktoś, ale kapitan odwrócił się i spojrzał na niego groźnie. Zdaniem kapitana pogodne zlekceważenie przez admirała śnieżnej bieli świeżego malowania było znaczące. Najwyraźniej zainteresowanie szefa koncentrowało się na czymś innym, a to mogło dotyczyć tylko testów praktycznych. Nie chodziło o to, że kapitan miał jakieś specjalne wątpliwości co do ich wyniku – po prostu się zastanawiał. W końcu, jak powiedział Berkleyowi, nigdy wcześniej tak naprawdę ich nie sprawdzano.

Ledwie odszedł admirał, a na pokład zaczęli napływać Kastorowcy. Pierwsi przybyli szeregowi marynarze, rojąc się wzdłuż nabrzeża i wymachując notatnikami.

— He-ja, Polluchy! — krzyczeli. — Jezu, gdybyście tylko wiedzieli!

Uśmiechnięci Polluksowcy wpuścili ich na pokład i poprowadzili do zakamarków statku, mając nadzieję, że gdy ich arbitrzy są w tak chełpliwym nastroju, może uda się wcześniej wydobyć z nich niektóre z ich tajemnic. Nieco później przybył kapitan Allyn i jego oficerowie, a później, o wyznaczonej godzinie, admirał.

— Ehem — oznajmił admirał bardzo rzeczowym tonem, pomimo wysokiego, cienkiego głosu. *Polluks* wyruszy kursem za Jowisza na małego, najbardziej wewnętrznego satelitę, pozostającego teraz w opozycji. Wyląduje na nim, a następnie wystartuje i powróci do bazy. Podczas całego zadania nie będzie się komunikować ani otrzymywać pomocy z zewnątrz. W różnych chwilach będziemy przeprowadzać ćwiczenia, symulując rozmaite straty. Należy wyraźnie zrozumieć, że te sztuczne straty należy traktować pod każdym względem tak, jakby były rzeczywiste, a jeśli statek w jakikolwiek sposób odejdzie od takiego sposobu ich traktowania, wynik oceny testów wyniesie zero.

Kapitan Dongan potwierdził polecenie admirała skinieniem głowy.

— I dodam jeszcze — ciągnął admirał — że gdyby przypadkiem doszło do jakiegoś prawdziwego wypadku lub poszkodowanych, będzie to traktowane jako część zadania. Czy jesteście gotowi, panowie?

Carlson, ulubieniec mesy, wykonał start i pomimo dość oczywistego obciążenia psychicznego, poradził sobie z tym dobrze. Statek uniósł się łagodnie i gładko, po czym stopniowo skręcił jak szybujący orzeł w kierunku wielkiego różowego dysku głównego składnika układu. Carlson otrzymał pobieżne „Dobra robota” od głównego arbitra i wycofał się, ocierając z ulgą czoło. Jego następcą został Kingman.

— Pożar w szafce na farby! — było to zadanie do rozwiązania dla Kingmana – najpospolitsze i najbardziej oczywiste z ćwiczeń przeciwpożarowych. Ludzie przybiegli na swoje stanowiska w odpowiednim czasie i ich przybycie zostało należycie zgłoszone. Prowadzone działania były bez zarzutu, aparatura była w idealnym stanie, tak że najbardziej zaciekły krytyk nie mógłby znaleźć niczego, na co miałby narzekać. Z niespokojnego serca realizatora zadania, spadł wielki kamień. Ogień w szafce na farby, też mi! Jeśli dalej będą wyskakiwały tylko takie kasztany, ta wyprawa będzie piknikiem.

— I pomyśleć o całej bezużytecznej robocie, do której nas zagonił — szepnął z wyrzutem Chinnery do ucha Frasera.

Na głowę Frasera spadło przeprowadzenie ćwiczenia Opuścić Statek. Polluksowcy czekali w napięciu, gdy rozgłaszacze televoxowe na całym statku powtarzały wezwanie do łodzi. Łódź nr 3, na prawej burcie, była prawdziwą zdzirą. Pięć razy na sześć, jej silnik nie uruchamiał się, jeśli nie został wcześniej podgrzany palnikiem. Tajemnicą było, dlaczego, ponieważ po kolei wymienili w niej cztery zapasowe silniki, a nr 3 nadal zachowywała się w ten sam nieprzewidywalny sposób. Ale dzisiaj poderwała się jak wystraszona gołębica już po pierwszym naciśnięciu przycisku startu. To był czysty łut szczęścia, bo nie było szansy na użycie

palnika z tymi wszystkimi czujnymi arbitrami zapisującymi wszystko, co widzieli.

Kastorowcy przeczesali opuszczone łodzie, szukając problemów, ale ich poszukiwania zakończyły się niepowodzeniem. Szafki w łodziach były poprawnie wyposażone, włącznie z apteczkami, podobnie właściwie działała instalacja elektryczna i obsługa. Fraser otrzymał kolejne cztery-zero i został zwolniony.

Wezwano Bullarda i nastąpił długi okres spokoju. Znaleźli się na orbicie Ganimedesa, zanim arbitrzy podnieśli alarm, ogłaszając kolizję.

Z tym również szybko się uporano, chociaż została naliczona kara w wysokości jednej dziesiątej punktu, ponieważ mat stolarz trzeciej rangi, w pośpiechu wszedł do pozbawionego powietrza pomieszczenia, zanim założył swój hełm próżniowy. Kiedy Bullard usłyszał, że to wszystko, co było nie tak, odetchnął głęboko i odprężył się. Zepsucie dotychczas doskonałego wyniku statku karą, było irytujące, ale mogło być gorzej.

Moore wylosował „Wyprawę poszukiwawczo-ratunkową” i kiedy statek unosił się nad górą Sarpedon w równikowej części Europy, zszedł do tego hałaśliwego krateru, znalazł w nim i sprowadził na pokład manekina, którego pomocnicy admirała umieścili tam kilka dni wcześniej. To był triumf *Polluksa*, ponieważ manekin leżał pośród przerażających gejzerów halogenowych. Czysty fluor jest trudnym zadaniem przy standardowym wyposażeniu, ale łódź ratunkowa *Polluksa* przewoziła wszystko, co trzeba. Oprócz łagodnego podtrucia gazem dwóch członków załogi łodzi, nie było żadnych innych problemów.

Admirał stał na pokładzie dla łodzi, kiedy powrócił Moore. Spojrzał na resztki skorodowanego manekina, popatrzył na dziurawe hełmy i śmierdzące kombinezony członków wyprawy ratunkowej. Kastoriański arbiter wyszedł z łodzi i zgłosił dwa przypadki zatrucia gazem.

— Zbyt dobra robota, żeby psuć ją karą — zarządził szef. — Dajcie dla porucznika Moore'a cztery-zero.

Tej nocy mesa była radosnym nastroju. Przeszli dwie trzecie drogi przez inspekcję i jeszcze się nie poślizgnęli – z wyjątkiem tego ułamka punktu zarobionego przez Bullarda. Nikt mu tego nie wyrzucał, bo mesa nie była taka drobiazgowa, ale Bullard nie był zbyt szczęśliwy. Gdyby inni też złapali jakieś kary, nie przejmowałby się tym, ale tak stał samotny w świetle reflektorów.

— Jesteśmy lepsi niż myślałeś, co? — powiedział Beckley, klepiąc Abla Warlocka, pierwszego *Kastora*, po plecach.

— Jeszcze jesteście w lesie — brzmiała sucha odpowiedź Warlocka, który mrugnął do Pete'a Roswella. — Jutro kolejny dzień.

Io znajdował się pod rufą i pozostawał w tyle, kiedy zabrzmiał sygnał gotowości bojowej. Ludzie rzucili się do swoich stanowisk bojowych i obsadzili uzbrojenie. Bullard wczołgał się do swojej kabiny sterującej i podpiął słuchawki.

— Gotowi — zameldował po błyskawicznym sprawdzeniu załogi wieżyczki. Każdy z ludzi był na swoim miejscu, czujny i gotowy.

To był schemat powtarzany na całym statku. Kapitan Dongan był w sterówce, pierwszy w nawigacji, i dalej po kolei wszyscy byli tam, gdzie powinni. A u boku każdego z nich nieuchronnie znajdował się arbiter z tykającym stoperem i charakterystycznym notatnikiem. Nadeszła godzina próby. Teraz miała zacząć się zabawa. Czy Polluksowcy byli prawdziwymi marynarzami, czy nie?

— Uruchomić stopery — zasygnalizował główny arbiter i zadanie się rozpoczęło.

Po upływie czterech i pół sekundy Bullard wypuścił swoją pierwszą salwę. Jego ludzie szybko załadowali drugi ładunek. Pełna maszyn wieżyczka była niewygodnie zatłoczona ludźmi, co spowodowane było podwojeniem obsady w związku z obecnością arbitrów. Ci ostatni skakali we wszystkie strony, starając się nie wchodzić w drogę, a jednocześnie zapisywać dane dotyczące kierowania ogniem, gdy pojawiały się na ekranie, lub w inny sposób notować działania ludzi z *Polluksa*. W kabinie z Bullardem siedział Heine Bissel, oficer dowodzący wieżyczki *Kastor*a, który jednym okiem obserwował co robi Bullard, a drugim zerkał na listę strat w swojej dłoni. Bullard zazdrościł arbitrom swobody poruszania się, gdyż w przeciwieństwie do ludzi na stanowiskach bojowych, arbitrzy nie musieli być ubrani w skafandry kosmiczne. Oczywiście w bitwie skafandry były rozdawane przed jej rozpoczęciem. Każde przypadkowe trafienie, przebijając zewnętrzną przegrodę, w każdej chwili mogło spowodować utratę powietrza w pomieszczeniu.

Poszła druga salwa Bullarda, ale zbiegiem okoliczności wraz z nią zamigotały światła, przygasły na chwilę, po czym ponownie się zapaliły. Gdzieś na dole coś poszło nie tak z głównym obwodem oświetlenia i nastąpiło przełączenie na inny.

— Silniki podajnika amunicji nie działają — oznajmił Bissel, patrząc na swoją listę.

— Ładować ręcznie! — rozkazał Bullard niemal jednym tchem. Próbował zgłosić wypadek do CS, ale słuchawki na jego uszach były głuche. Wyjął wtyczkę z gniazdka i podłączył do obwodu nr 2. Też był martwy.

Jego ludziom udało się po raz trzeci wystrzelić z dział. Mieli pełne trzy sekundy opóźnienia z powodu konieczności ręcznego ładowania broni, ale w tych okolicznościach, zrobili to w odpowiednim czasie.

Bullard widział, jak zmagają się z czwartym zestaw pocisków. Jego wzrok dostrzegł pędzące słowa na teletekście nad głową: „Trafienie boczne przebiło zarówno CS, jak i Nawigację – kapitan i pierwszy są martwi – sterowanie przeszło do sub-CS – dowodzi Chinnery”.

— Zgasły ci światła — zauważył Bissel z triumfalnym błyskiem w oku, sięgając po wyłącznik nad głową. Światła zostały zgaszone.

Bullard kopnął lewą nogą i uderzył we włącznik awaryjnego akumulatora. Znowu pojawiło się światło, tym razem zasilane z baterii własnych wieży, niezależnie od ogólnego obwodu statku. Tobelman wepchnął ładunek napędzający do zamka ostatniego działa i nacisnął klucz

spustu. Nie było odrzutu. Szarpnął za linkę i wystrzelił z działa ręcznie. W tym momencie zza podajnika amunicyjnego podniósł się arbiter i odpalił puszkę z magnezją. Nastąpił jaskrawy rozbłysk, oślepiający w swej intensywności. Potem wszystko zalała czerń.

— Masz zwarcie w baterii — w mroku rozległ się spokojny głos Bissela. Zabrzmiało w nim tłumione rozbawienie i Bullard podejrzewał, że ta ostatnia awaria była improwizowana. Ale to nie miało znaczenia. Bissel z powrotem wyłączył światło w wieżyczce i to już miało oficjalny charakter.

— Załadowane po ciemku, sir! — zawołał Tobelman. — Gotowe!

— Ognia! — Bullard był dumny ze swojej bandy.

— Właśnie wtargnął pocisk wroga i wybił załogę wieży — szepnął Bissel. Poza kabiną zapanowała cisza, kiedy ludzie w ciemności zaprzestali swoich wysiłków. Każdy z nich usłyszał to samo od swojego własnego arbitra. Bissel na kilka chwil włączył przenośną latarkę, aby zapisać czas masakry.

— Czy ja też nie żyję? — zapytał Bullard.

— Och, nie. Z tobą jest wszystko w porządku. Twoja wieżyczka już nie może strzelać, to wszystko.

Bullard wyskoczył przez właz ewakuacyjny. Jeśli wszyscy jego ludzie zginęli, nie było sensu siedzieć w ciemnej kabinie kontrolnej i czekać na koniec. Obowiązki wzywały go gdzie indziej.

Winda utknęła między pokładami, prawdopodobnie kolejne uszkodzenie w wyniku strat zadanych przez nieprzyjaciela. Bullard, z dyszącym Bisselem za plecami, zjechał po drabince i wskoczył przez opancerzony właz do CS. Sterówka była pusta, z wyjątkiem kilku wylegujących się arbitrów, porównujących notatki. Bullard rzucił z niepokojem okiem na ustawienia na głównym pulpicie sterowniczym, ale od razu zauważył, że główny przełącznik na górze jest wyłączony. Sterowanie, oczywiście, zostało przeniesione gdzie indziej. Pozycje tych urządzeń sterujących, niezależnie od tego w jakich się znajdowały, były bez znaczenia.

Pobiegł korytarzem w stronę sub-CS, małej klitki za Nawigacją, nie tracąc ani sekundy na bezowocny postój w kabinie nawigacyjnej. To, co widział w CS, bez wątpienia zostanie i tam. Przechodząc koło drzwi mesy, dojrzał stłoczonych tam oficerów, co sprawiło, że zatrzymał się na chwilę i zaczął przyglądać się im bliżej. Spoglądając przez szklaną szybę, ze zdumieniem zobaczył tam większość oficerów Polluksa, albo ze zdjętymi skafandrami, albo w trakcie ich zdejmowania. Chinnery, o którym myślał, że tymczasowo dowodzi, był jednym z nich.

— Trupy — wyszczerzył zęby Bissel. — Tam gdzie są, nie będą przeszkadzać, a więc równie dobrze mogą mieć trochę wygody.

Ale według wszelkich znaków na niebie i ziemi, kapitanowi Donganowi wcale nie było wygodnie. Niecierpliwie chodził po pomieszczeniu, z poważnym zatroskaniem bijącym z każdego rysu jego szorstkiej twarzy. Beckley nie wyglądał na bardziej spokojnego.

Bullard pośpieszył dalej. W mesie widział wszystkich swoich współtowarzyszy oficerów, oprócz Frasera. Czy to możliwe, że on i Fraser byli jedynymi, którzy przeżyli? Otworzył szarpnięciem drzwi sub-CS. To miejsce zmieniło się w dom wariatów: pięciu mężczyzn stojących przy tubach głosowych i krzyczących do pięciu innych ludzi znajdujących się gdzie indziej – a każda z pięciu rozmów była inna.

— Myślałem, że nie żyjesz — wykrzyknął Fraser, widząc wpadającego Bullarda. — Wszystko poszło w cholerę i komunikacja jest straszliwa, ale jeśli szukasz jakiejś roboty, skocz do maszynowni i sprawdź…

— Apopleksja! — wrzasnął podekscytowany arbiter, wskazując na Frasera. — Ty! Nie żyjesz.

Fraser zdławił swoje słowa w gardle, tupnął z obrzydzeniem nogą i zdjął hełm. Odwrócił się w drzwiach i wyglądał, jakby chciał coś powiedzieć; potem, jakby myśląc jaśniej, ruszył w stronę mesy, aby dołączyć do reszty „martwych".

Bullard nagle zdał sobie sprawę, że został dowódcą statku, ale nie miał najmniejszego pojęcia o jego obecnym stanie, poza tym, że po drganiu pokładu wiedział, że wciąż okręt przyspiesza z pełną mocą. Dopóki nie dowie się, co się stało i co pozostało w stanie zdatnym do działania, nie mógł wydawać sensownych rozkazów. Potem zobaczył twarze admirała, kapitana Allyna, komandora Warlocka i innych, obserwujących go uważnie przez szeroki świetlik wpuszczony w gródź między Nawigacją i sub-CS. A więc to on miał być kozłem ofiarnym tej inspekcji! Żałosna sztuczka. On, niemal najmłodszy stopniem oficer na statku i ostatni który dołączył do załogi, został poddany tej surowej próbie! Rozgniewało go to, ale w tej samej chwili uderzyła go myśl, że test jest przecież również testem dla całego *Polluksa*. Dopóki żył którykolwiek z członków jego załogi, musi ciągnąć wszystko dalej. Trzeba pokazać tym chytrym arbitrom, że Polluks jest przygotowany, i to dobrze przygotowany. Trzy żmudne tygodnie intensywnych ćwiczeń i nieustająca praca kapitana i jego zastępcy w nauczaniu swoich ludzi, nie mogą pójść na marne. Jeśli statek był nadal zdolny do działania, poradzi sobie z tym!

— **C**isza! — ryknął. Zmęczeni rozmówcy przy przewodach głosowych popatrzyli na niego i mrugali oczyma. Machnął palcem w stronę pierwszego z nich. — Raport!

Jeden po drugim cała piątka opowiedziała mu swoją historię, zalewając go staccatem słów. W miarę jak pojawiały się szczegóły, Bullard był coraz bardziej zdumiony postawionym przed nim zadaniem. Pomieszczenie torpedowe, podobnie jak wieżyczka, nie działało, a jego załoga została zabita. W szafce na chemikalia szalał pożar. Wielkie kotły rtęciowe zostały wyłączone, ich podgrzewacze były podziurawione i nieszczelne, w wyniku czego cały dział zapasowy energii nie funkcjonował. Z ogniw słonecznych płynął tylko słaby i niedostateczny prąd, wystarczający wyłącznie do podtrzymania działającego oświetlenia. Wszystkie środki łączności nie działały z wyjątkiem rur głosowych. I dochodząc do punktu

kulminacyjnego, główne silniki zostały zablokowane – w stanie cała naprzód. A przed nimi, niebezpiecznie blisko, leżał Jowisz – Jowisz, kolosalny, ogromny, przyciągający jak magnes. Ćwiczenia nie ćwiczenia, trzeba było coś zrobić i to bardzo szybko.

Gdy Bullard przystąpił do działania, zastanawiał się, jak długo potrwa farsa o wyimaginowanych niepełnosprawnościach. Jednakże dopóki gra wojenna nie została odwołana, nie mógł tknąć żadnego z chronionych przez arbitrów zaworów ani przełączników. Musiał pracować ze zdezorganizowaną resztką mocy potężnego statku. Nowa oznaka niebezpieczeństwa zaczęła szumieć, ostrzegając go, że cokolwiek ma zrobić, nie może to być już dłużej odkładane. Ponieważ automatyczne sterowniki na liniach doprowadzających uran nie działały, więc przyspieszenie powoli rosło – kiedy nie potrzebował w ogóle żadnego, dostawał coraz większe – i nie było innego sposobu na przerwanie tego procesu, jak zrobienie tego ręcznie.

Wziął rurę do maszynowni i ku swej ogromnej satysfakcji dowiedział się, że dowodzi tam Benton, specjalista rakietowy. Benton potwierdził mu, że nie ma innego sposobu na odcięcie dopływu uranu niż użycie zabronionych zaworów sterowanych elektrycznie.

— W takim razie weźcie przecinaki do rur albo klucze nastawne i przerwijcie linie zasilające!

— Aye, aye, sir.

Bullard podobnie jak Benton wiedział, że uran będzie nadal wypływał, w konsekwencji będzie się marnował, ale jeśli nie zostanie dostarczony dokładnie w punkt skupienia piekła rozpadu, nie będzie mógł rozbłysnąć potężną energią eksplodujących atomów. Po odcięciu dostawy nowego paliwa, rozpylacze chłodzące szybko poradzą sobie z jego resztkami ciągle znajdującymi się w punktach skupienia.

Nieustannie dobiegały ponaglające wezwania ze schowka na chemikalia, w którym miał być pożar. Siedzący tam Polluksowiec narzekał, że sędzia ogłosi go za spalonego na popiół, chyba że podjęte zostaną jakieś działania w celu ugaszenia ognia. Bullard zawahał się przez chwilę. Właściwie w szafce na chemikalia nie było niczego łatwopalnego – z wyjątkiem fajerwerków, które arbitrzy odpalili, dla dodania realizmu swoim działaniom – i w konsekwencji przedział nie był wyposażony w urządzenia przeciwpożarowe.

— Ewakuuj magazyn — polecił Bullard. — Zbierz wszystkich ludzi z Polluksa, znajdujących się w pobliżu, i przetransferujcie wszystko do magazynu rezerwowego na kolejnym pokładzie wewnętrznym od was.

— Aye, aye, sir — rozległ się głos zwolniony z dylematu konieczności porzucenia stanowiska, albo upieczenia się na nim żywcem.

Bullard poczuł spowolnienie statku, gdy ustało przyśpieszenie, i wiedział, że Bentonowi udało się przerwać atomowe przewody zasilające. Szkoda było marnować energię w taki sposób, ale nie do pomyślenia było dalsze nurkowanie z pełną mocą w stronę Jowisza. Deflektory napędowe były na sztywno zablokowane na osi przód – tył i nie było możliwości skrętu przy pomocy tych silników. Ponownie ściągnął Bentona do rury głosowej.

— Czy coś jest nie w porządku ze starymi klapami sterującymi nad dyszami rakiet na paliwo ciekłe?

— Wszystko chodzi jak w zegarku, sir.

— W takim razie rozgrzej silniki i puszczaj je w ruch…

— Aye, aye, sir.

— I, Benton, kiedy zaczną dawać ciąg, obróć statek o połowę i wal o dziewięćdziesiąt stopni od obecnego kursu. Będziesz musiał to zrobić poprzez sterowanie miejscowe – dla tych starych silników w tej sub-sterówce nie ma urządzeń sterujących.

— Aye, aye, sir.

Bullard poczuł się lepiej. Był szczerze wdzięczny, że pozostawili mu Bentona. Benton był człowiekiem wielce utalentowanym. Wkrótce ten szaleńczo pędzący okręt znajdzie się do pewnego stopnia pod kontrolą. A więc Bullard mógł się zająć kilkoma bardzo potrzebnymi drobniejszymi korektami. Jedną z rzeczy, która była źródłem ogromnej irytacji, był wszechprzenikający hałas, wzmacniany jeszcze przez krzyki jego rozmówców. Postanowił zrezygnować z użycia archaicznych rur głosowych i zamiast tego wykorzystać eterofony w hełmach kosmicznych. Oznaczało to konieczność odpowiedniego zorganizowania linii łączności dla wielu uczestników, ponieważ radia w hełmach nie były selektywne i gdyby wszyscy od razu zaczęli mówić, rezultatem byłby jeden wielki jazgot.

— Przekażcie wszystkim członkom załogi — polecił grupie rozmówców w sub-CS — aby zamknęli przyłbice hełmów i włączyli telefony eterowe. Nikomu nie wolno odzywać się przez nie, chyba że odpowiada na moje pytania lub zgłasza sytuację alarmową.

Wiadomość została przekazana. Bullard, w celu sprawdzenia skuteczności tego środka łączności, wezwał kolejno różne części statku, aby przekazały raporty. Pomimo masowej rzezi oficerów, przy życiu i na swoich stanowiskach przebywała satysfakcjonująca liczba ludzi. Do czasu kiedy nie doszedł do pożaru w szafce chemicznej, nie usłyszał niczego, co by go nadmiernie niepokoiło. Wszystko szło dobrze, dopóki w jego hełmie nie zabrzmiał szaleńczy śmiech i pozbawione sensu słowa szefa magazynu. Bullard odpowiedział ostrym pytaniem, na które w reakcji usłyszał tylko ckliwy bełkot, przeplatany wybuchami chichotu. Ten człowiek był pijany – czy coś podobnego.

Bullard rzucił ostre spojrzenie w kierunku admirała i grupy oficerów inspekcyjnych obserwujących go z Nawigacji. Oni również wykazywali pewne oznaki wesołości, kilku z nich uśmiechało się bezmyślnie. Pete Roswell wykonywał niezręczną parodię *quillioty*, dosyć ryzykowną wersję tradycyjnego tańca mięśni, często widywanego w kabaretach Ursapolis. Bullard ogarnął nagły gniew. Czyżby zamienili inspekcję w jawną farsę? Kiepski żart jego kosztem? Kiedy wpatrywał się z oburzeniem w grupę w Nawigacji, jeszcze bardziej się wściekł, widząc jak Abel Warlock machinalnie zaczął wyrywać z przewody gniazd liczników. A – przede

wszystkim – sam admirał zaczął szaleńczo podskakiwać, a na jego zazwyczaj dystyngowanej twarzy, rozlewał się absurdalny elfi uśmieszek.

Bullard ponownie rzucił ostre wezwanie swojemu człowiekowi w magazynie. Tym razem głos w odpowiedzi, był bardziej trzeźwy – niemal skruszony.

— Przepraszam, sir – chyba wpadłem w jakiś szalony sen. Ale to było strasznie zabawne, sir. — Kiedy to mówił, jego głos robił się coraz trzeźwiejszy i coraz bardziej skruszony. — I sir, powinienem panu powiedzieć – arbitrzy pomdleli. Leżą wszędzie…

Zabawny sen! Arbitrzy tracą przytomność! Bullard nie stracił ani sekundy. Jednym skokiem opuścił sub-CS, kierując się w stronę przejścia prowadzącego do magazynów.

Przedarł się przez dym z flar, przeszedł przez do połowy opróżnioną szafkę chemiczną i dotarł do magazynu zapasowego. Niewyraźnie widział, jak dowódca magazynu pochyla się nad kilkoma bezwładnymi postaciami na pokładzie. Bullard zatrzymał się, aby zbadać bombę dymną, ale był przekonany, że to nie ona stanowiła przyczynę problemu. Był to wyrób standardowy – mieszanka lucyferyny z niewielką ilością soli strontu, dająca natychmiast czerwony ogień i sporą ilość dymu, ale bez nadmiernego gorąca. Opary te nie miały odurzającego ani hipnotycznego działania.

Zobaczył, że duża część różnorodnego asortymentu chemikaliów przechowywanych w szafce stoi teraz na podłodze magazynu, ale wszystko to były zwykłe substancje, nie uważane za niebezpieczne. Było parę beczek z różnymi solami i butli z kwasami, ale żadne z nich nie zostały rozbite. Na szczycie stosu chemikaliów stały trzy okrągłe, płaskie kryształowe kolby z prawie czarną cieczą. Rozpoznał je jako pojemniki z jodyną – również nieszkodliwe.

Zanim zaczął pomagać swojemu człowiekowi w ocuceniu poszkodowanych arbitrów, Bullard uchylił lekko osłonę twarzową i ostrożnie pociągnął nosem. Ach! Ten mdły słodkawy zapach był mu dziwnie znajomy. I kiedy zaczęło mu tętnić niezwykłe dzwonienie w uszach, zatrzasnął hełm i zaczął szukać zaworu tlenowego. Mocno trzymał w garści swoją świadomość; wiedział, że za sekundę chwilowe zawroty głowy miną, ponieważ gaz był to tylko niezbyt uciążliwy podtlenek azotu. Ale skąd pochodzi N_2O i ile go tam było?

Skoczył do kosza z azotanem amonu. Na pierwszy rzut oka wyglądał normalne, ale rozum podpowiadał mu, że to musi być źródło tych oparów. Przysunął się bliżej i nagle poczuł ciepło między łopatkami. Sprawiało to takie wrażenie, jakby stanął przed drzwiczkami pieca. Odwrócił się, aby zlokalizować źródło ciepła, i zobaczył – tylko trzy butelki z jodyną, a za nimi i wokół nich leniwe smużki dymu z gasnącej flary.

Zdumienie pchnęło go do działania. Sytuacja była absolutnie jasna. Butelki jodyny, ukształtowane w określony sposób, zadziałały jako soczewki skupiające promieniowanie podczerwone bomby dymnej, tak bardzo koncentrując jej słabe ciepło, aż stało się wyraźnie zauważalne. Pod wpływem tego łagodnego ogrzewania azotan amonu zaczął się rozkładać i wydzielać opary podtlenku azotu. Teraz zrozumiał szaleńcze

zachowanie magazyniera, zanim nałożył maskę, i dlaczego arbitrzy w tym miejscu leżeli nieprzytomni. Rzucił się do jodynowych soczewek i strącił je na pokład. Następnie skoczył do atmosferycznych zaworów kontrolnych na przegrodzie i zwiększył ilość tlenu wpływającego do przedziału. Wezwał Bentona w pomieszczeniu z rakietami i kazał mu podłączyć przechowywane dotychczas w rezerwie akumulatory i uruchomić dmuchawy. Musiał oczyścić magazynek z „gazu rozweselającego”.

Gaz rozweselający! Dowcipy inspektorów! Teraz zaczęło to mieć sens. Rzucił okiem na otworzone rury głosowe i w tej samej chwili zrozumiał, co się wydarzyło. Zadrżał na samą myśl o tym, co się może dziać na okręcie. Podtlenek azotu, jako cięższy od powietrza, w naturalny sposób przepływał przez otwarte rury głosowe do sterówki i innych przedziałów skupionych wokół środka ciężkości statku. Wszyscy oficerowie bez hełmów, zarówno z *Polluksa*, jak i kastoriańscy inspektorzy, musieli być co najmniej lekko wstawieni. W tej chwili nawet może już tracili przytomność. Bullard zamknął gazoszczelne osłony rur głosowych i wykrzyknął ostrzeżenie do telefonu w hełmie do pozostałych ludzi na całym statku.

— Za późno — wrócił meldunek Bentona. — Zachowują się jak wariaci – ale skąd mogłem wiedzieć? Nie mogłem tego powąchać i myślałem, że to część gry. Dopiero teraz…

— Tylko co teraz? — warknął Bullard, a serce mu zamarło.

— Cóż — relacjonował Benton, wahając się, czy cytować tak dostojną osobistość jak dowódca Sił Patrolu na Jowiszu, kiedy ten ostatni znajdował się w takim swobodnym nastroju, — wszedł roztańczony admirał i klepnął naszego kapitana w plecy proponując „Zróbmy z tego naprawdę niezłą imprezę”, a kapitan Mike odparł: „Pewnie! Szkoda, że przeoczyłeś już tak wiele zakładów…”

Bullard jęknął. Ten gaz musiał dostać się też do mesy.

— Wtedy wszyscy zaczęli śmiać się jak diabli i rozwalać różne rzeczy.

Bullard ponuro słuchał, jak Benton recytował listę szkód. Niektóre kable były powyrywane, inne szaleńczo połączone i pozwierane; urządzenia sterujące zostały rozbite, a wskazówki przyrządów powykrzywiane pod dziwnymi kątami; krótko mówiąc, panowało ogólne piekło. Dzięki rozbawionym ofiarom gazu, wszystkie wymyślone na potrzeby ćwiczeń szkody – i nie tylko – zmieniły się w ponurą rzeczywistość. Teraz statek rzeczywiście znajdował się poza kontrolą.

— Podawaj im przez cały czas tlen — wrzasnął Bullard. — Jestem w drodze do was.

Benton nie wyolbrzymiał sprawy. CS, Nawigacja, Nawigacja pomocnicza i przedziały silnikowe sugerowały przejście ziemskiego tajfunu. Pokłady były zaśmiecone uchwytami pourywanych dźwigni, szczątkami przełączników, porozbijanymi urządzeniami pomiarowymi i strzępkami papieru. Zerwali nawet tablice astrogacyjne i podarli dziennik pokładowy. Z grodzi zwisały pomieszane końcówki przewodów i powbijane wskaźniki. We wszystkich przedziałach panował straszliwy bałagan. A

wszędzie siedzieli usypiający oficerowie, którzy to zrobili, za bardzo oszołomieni, by zrobić coś więcej, ale ciągle gapiący się z głupkowatymi minami.

Nie było sensu płakać nad rozlanym mlekiem. Na zewnątrz statku czekało zagrożenie ze strony Jowisza, jeszcze bardziej złowieszcze niż przedtem, i Bullard przypomniał sobie o nim czując uderzenie ciągu, gdy sześć przestarzałych rakiet na paliwo ciekłe odpaliło po raz pierwszy. Dobry stary Benton! Pomimo szalejącego wokół niego domu wariatów, wytrwał przy przydzielonym zadaniu i zmusił te rakiety do działania. Statek szarpnął się w reakcji, powodując że wielu z oszołomionych obserwatorów poleciało na najbliższe grodzie. I tak już zapracowani ludzie z korpusu sanitarnego, biegający między nimi z apteczkami, mieli nowy problem, z którym musieli sobie poradzić. Niektórzy z ich pacjentów byli podwójnie nieprzytomni.

Bullard byłby pewnie bardziej zaniepokojony wygodą dotkniętych tymi wypadkami przełożonych, ale po sukcesie i doprowadzeniu rakiet do działania, nadszedł nowy wypadek, zupełnie niespodziewany. Przez statek przeszło dziwne pulsowanie i zaczął się przechylać w nieprzewidywalny sposób, a jednocześnie pojawiła się gwałtowna oscylacja boczna, która sprawiła, że poczuli mdłości. Wciąż przytomny arbiter, skulony w kącie, wręcz zaczął wymiotować; zwisające resztki zniszczonych urządzeń uderzały o grodzie, podczas gdy porozrzucane po pokładach śmieci przesuwały się w przód i w tył, jak morskie fale. Hałas i stukot były nie do zniesienia.

Ponad tym wszystkim rozbrzmiewał przeraźliwy jęk uruchamianych silników. Gdy szaleńcze i budzące wymioty oscylacje zwiększyły swą amplitudę, stało się boleśnie oczywiste, że coś się dzieje z masywnymi żyroskopami wirującymi w sercu okrętu. Bullard przedzierał się w ich kierunku, łapiąc się wszystkich uchwytów, do których mógł dosięgnąć rękoma, i unikając pocisków z rozbitych szczątków, miotanych przez podskakujący statek. Po pewnym czasie dotarł do opancerzonego włazu w obudowie żyroskopu, wcześniej domyślając się już co się stało, ale rozwiązanie tego problemu bynajmniej nie było takie oczywiste.

W swej pijackiej orgii zniszczenia arbitrzy pozrywali przewody zasilające uzwojenia elektromagnesów w silnikach, i żyroskopy wyrwały się spod kontroli, rozpędzając się – ale w nierównym tempie, prawdopodobnie z powodu różnych wartości ich tarcia łożyskowego. Bullard oczywiście wiedział, że może w ogóle odciąć prąd do żyroskopów, ale gdyby to zrobił, problem wkrótce powróciłby w zdwojonej postaci. Jeśli żyroskopy zatrzymają się gwałtownie, ich moment obrotowy zostanie przeniesiony na statek i wprawi go w zawrotne wirowanie, którego załoga nie wytrzyma. Bullard miał nikłe nadzieje na przywrócenie zasilania elektromagnesów. Znalezienie przerw w kłębowisku kabli z różnych urządzeń, zajęłoby mu wiele godzin, podczas gdy miał do dyspozycji minuty, i to niezbyt wiele.

— **P**rzyślij mi tu człowieka z dużą ilością kabla — polecił Bentonowi. — I chcę podciągnąć zasilanie do obudowy żyroskopów z baterii.

Bullard przyglądał się stalowym kolumnom, które podtrzymywały łożyska osi żyroskopów – było ich sześć rozmieszczonych w parach, każda para pod kątem prostym do innych. Czego nie mógł osiągnąć poprzez hamowanie polem magnetycznym, może uda się dokonać przy pomocy tarcia. Gdyby mógł regulować nacisk łożysk, mógłby kontrolować prędkość żyroskopów. Z początku wydawało mu się to beznadziejne, ponieważ nie było sposobu na wprowadzenie do przedziału ogromnych podnośników, które mieli na pokładzie, ale wkrótce wymyślił sposób, który przynajmniej wart był wypróbowania.

— Rzuć koniec tego kabla tam — polecił — i owiń go – spiralnie – wokół kolumny łożyska. Zamierzam ją namagnesować.

Marynarz – jeden z elektryków Frasera – zrobił, co mu powiedziano, ale niedowierzanie na jego twarzy było łatwe do odczytania. Jaka to różnica, czy kolumny oporowe były magnetyczne, czy nie?

— Tak, dobrze! — krzyknął Bullard, gdy ostatnia z sześciu kolumn została owinięta.

Potem rozkazał podłączenie zasilania – słabego prądu, ale pod jego bezpośrednią kontrolą za pomocą reostatów, które wstawił w przewodach. Zrobienie tego wszystkiego było ciężką pracą, ponieważ przez cały czas rzucało nimi w tę i inną stronę, gdy wirujące masy metalu próbowały przejąć kontrolę nad poobijanym krążownikiem. Ale Bullard i jego pomocnik wytrzymali to i teraz miał wykonać swoją próbę.

Po chwili został nagrodzony powstrzymaniem stale narastającego crescendo zawodzenia silników żyroskopów. Przynajmniej powstrzymał ich przyspieszanie. Teraz musiał tylko doprowadzić te trzy żyroskopy do synchronizacji.

— Wiesz o co chodzi — powiedział do elektryka, który mu pomagał. — Baw się z nimi dalej, dopóki się nie zsynchronizują. Łożyska się nagrzeją, ale nic na to nie poradzimy. Zalej je olejem, a jeśli to nie pomoże, wyślij po trochę ciekłego powietrza. Cokolwiek zrobisz, nie zatrzymaj ich, bo wylecimy prosto z Układu.

— Aye, aye, sir — odparł marynarz, — ale jak to zrobiliśmy?

— Magnetostrykcja — wyjaśnił Bullard, przygotowując się do wydostania się z przedziału. — Odrobina magnetyzmu sprawia, że stal się rozszerza, to wszystko. Kiedy łożyska są zbyt ciasne, trochę zasilania więcej lub mniej, i kontrolujesz obrót.

Bullard Wyszedł z osłony żyroskopów i ruszył na rufę. Zastanawiał się, gdzie do tej pory się znaleźli i czy wygrywają walkę z Jowiszem. Czuł wibrowanie statku, napędzanego przez sześć płonących rakiet, i po poczuciu ciężaru wiedział, że ciągną one statek – ale jak szybko?

Benton wyglądał na zmartwionego. Jego rakiety sprawowały się cudownie, ale brakowało im mocy odpowiedniej do wykonania narzuconej pracy. Opadanie *Polluksa* było kontrolowane i to wszystko. Potrzebował

większego ciągu, aby uciec, a Benton nie odważył się go zastosować. Bullard przyszedł i zobaczył co się dzieje.

— Nic się nie poradzi — mruknął, — niech pracują mocniej.

— Stopią się — ostrzegł Benton.

— Trudno — powiedział młody oficer, pełniący obowiązki kapitana, z ponurą ostatecznością w głosie. — Gorzej i tak nie będzie.

Benton wzruszył ramionami i zaczął przygotowywać dodatkowe przewody paliwowe. Inni z jego ludzi pobiegli do magazynów i wkrótce wrócili, niosąc zapasowe wtryskiwacze. Te, po kilku minutach szaleńczej pracy, zostały podłączone do zaimprowizowanych superładowaczy i dostarczyły nowe paliwo do pracujących silników, a ślad odrzutu *Polluksa* wydłużył się od zwykłej meteorowej smugi rumianego ognia, do olśniewającego ogona komety klasy A. Zdeterminowani marynarze dodawali g za g do jego przyspieszenia, zwiększając je tak, że ludzie na pokładzie nie mogli go wytrzymać, pomimo obficie rozdawanych zastrzyków gravonolu.

Zmęczeni członkowie korpusu medycznego, zostali odciągnięci od pracy polegającej na ratowaniu nieszczęśliwych „zabitych" i kastoriańskich arbitrów, na czas by wykonać te zastrzyki zapobiegawcze.

Niebawem, trzeźwy i poważny, główny arbiter – kapitan Allyn z *Kastora* – wtoczył się chwiejnie do pomieszczenia rakietowego, wspierany przez dwóch swoich młodszych oficerów. Wyglądali kiepsko, posiniaczeni, pokaleczeni i tylko częściowo opatrzeni, ale przynajmniej udało im się stanąć na nogach. Jak wszyscy pozostali, wciąż oszołomieni działaniem gazu, zostali mocno poturbowani podczas walki z buntującymi się żyroskopami.

— Admirał powiedział — oznajmił kapitan Allyn — że wszystkie nałożone straty i uszkodzenia ćwiczebne zostały anulowane. Proszę przerwać obecne ćwiczenia i wracać do bazy.

— A niech sobie mówi, do jasnej cholery! — parsknął Bullard, wybuchając urazą. — Proszę przekazać admirałowi, że nie ma tyle władzy aby anulować uszkodzenia, z którymi się tutaj zmagam. Może mu pan powiedzieć, że wyjdę stąd, kiedy i jeśli będę mógł; i że wtedy będzie wystarczająco dużo czasu, aby porozmawiać o przerywaniu czegokolwiek i powrocie gdziekolwiek. W międzyczasie, proszę uprzejmie aby zszedł pan z drogi temu człowiekowi. Ma prawdziwą pracę do wykonania.

Kapitan Allyn otworzył jedno zdrowe oko z oszołomionym zdumieniem, ale odsunął się na bok i przepuścił obładowanego marynarza z naręczem nowych części zamiennych. Kapitan *Kastora* popatrzył na rozzłoszczonego młodzieńca w zabrudzonym i podartym mundurze, na pełne chaosu pomieszczenie rakietowe wokół niego, a potem z powrotem na oficera. Nie zdawał sobie sprawy, co się tutaj mogło wydarzyć. Nie było żadnych sprawnych przyrządów, ani astrogacyjnych, ani technicznych. Ci spoceni, zmęczeni ludzie mogli tylko zgadywać, z jakim ciśnieniem, napięciem, natężeniem prądu i resztą wartości, mają do czynienia. Teraz, bardziej niż kiedykolwiek, można było czuć statek – a było to niepokojące uczucie, okropne uczucie. To było skręcające wnętrzności uczucie zagłady.

— **W**łaśnie poleciał pierwszy z silników — zauważył spokojnie Benton, gdy statek zadrżał i podskoczył. Raczej poczuli niż usłyszeli wzmożony ryk na zewnątrz, a blady mężczyzna siedzący okrakiem na dymiącej turbosprężarce na linii zasilającej silnika nr 4, gorączkowo walczył, by zamknąć znajdujący się pod nim zawór. Pierwsza z przeciążonych rakiet osiągnęła krytyczną temperaturę – wyparowała i pomknęła w formie obłoku gazu w stronę tarczy Jowisza. Głos Bentona był cichy, a zmarszczki na jego brodzie nie drżały, ale w jego oczach malował się niepokój.

— Zaczekajmy — powiedział Bullard. — Nie możemy teraz odpuścić. Może pozostałe będą bardziej wytrzymałe. Weszliśmy już prawie na szczyt – jeśli wytrzymają chociaż pół godziny, przedostaniemy się przez niego.

Kapitan Allyn i jego dwaj pomocnicy dyskretnie wycofali się w róg sali. Allyn był zbyt kompetentnym oficerem, aby się wtrącać, teraz, kiedy już zrozumiał sytuację i widział, że ten brudny chłopak wie co robi. Zadowolił się umieszczeniem kilku dodatkowych wpisów w swoim już na wpół zapełnionym notatniku.

Upłynęło prawie dwadzieścia minut, zanim następna rakieta zapadła się i została wyrzucona w dół jako chmura jaskrawo żarzącej się pary. To był silnik numer 3, a pięć minut później poszedł numer 1 – i prawie jednocześnie z nim, numer 6. Ale pozostałe dwa wytrzymały, aż dotarli do szczytu i pokonali go. Punkt krytyczny minął, sądząc na wyczucie, i Bullard już miał na ustach rozkaz zmniejszenia ciągu o dwadzieścia procent, gdy jeden z pozostałych silników również nie wytrzymał. To pozostawiało im tylko jedną rakietę, jako całą siłę napędową statku, żałośnie niewystarczającą, ale przynajmniej poruszali się na zewnątrz, w czyste, ciemne głębiny eteru. Bullard pośpiesznie zredukował jej ciąg, aż wrócił on do normy, zastanawiając się z nadzieją, kiedy to zrobił, czy już wydostali się z pułapki.

Zostawił uciążliwie gorące pomieszczenie rakietowe Bentonowi i jego ludziom, i wyszedł na pełen chaosu statek w poszukiwaniu altiskopu. Przez kilka minut przedzierał się przez zagracone korytarze i zatkane szyby, zaglądając do teraz pustych wieżyczek i innych stanowisk kierowania ogniem w poszukiwaniu niezniszczonego przyrządu. Znalazł w końcu jeden, w wywróconym do góry nogami wrakowisku w pomieszczeniu torpedowym, niemal z przerażeniem w sercu przyłożył go do oczu i zerknął na Jowisza. Wtedy jego serce podskoczyło z radości i ulgi, gdyż wielki różowy dysk zajmował tylko część pola teleskopowego, a kiedy pospiesznie odczytał podziałki na nitkach krzyża celownika, stwierdził, że wydostali się z najgorszej części pola grawitacyjnego planety. W rzeczywistości musieli znajdować się w pobliżu orbity małego satelity, który był ich punktem docelowym.

Bullard obracał się z altiskopem przy oczach, aż w polu widzenia znalazło się maleńkie żelazne ciało, i gdy tylko je dostrzegł, zaczął wydawać rozkazy ludziom znajdującym się w pomieszczeniu rakietowym. Musieli teraz skręcić, mając jedną dobrą rakietę oraz pięć wypalonych, i wytracić własny pęd do przodu. Problem zmienił się obecnie z desperackiej

potrzeby przyspieszania, na konieczność kontrolowania lotu statku. Aby dostosować się do warunków rozkazu admirała, muszą wylądować na tej jałowej bryle żelaza.

Jakoś im się to udało. Mogło być cztery czy sześć godzin później, bo czas przestał mieć znaczenie, kiedy wynędzniały i bardzo brudny porucznik oraz wyczerpane resztki załogi, wyszli chwiejnym krokiem na czarną równinę najbardziej wewnętrznego satelity Jowisza. Poświęcili kilka chwil, na przyjrzenie się kadłubowi ogromnego statku, którym tam przylecieli. Z zewnątrz był to ten sam elegancki, potężny krążownik co poprzedniego dnia, jakikolwiek nieład mógł panować w środku, ale ich nie interesował jego ogólny wygląd. Wyszli, aby zbadać uszkodzenia wyrządzone kadłubowi przez rozpad rakiet. Czy były one możliwe do naprawienia? I na jakim terenie spoczywała obecnie bezradna Duma Niebios?

Porucznik Bullard nie był zadowolony z tego, że po prostu wyrwał się z uchwytu Jowisza. Jak rozumiał, był obecnie tymczasowym dowódcą Polluksa; a z postawionego im problemu taktycznego, tylko pierwszy etap został ukończony. Teraz musi wydostać się z tej skały, zabrać statek z powrotem do Ursapolis i posadzić go leżu w porcie. Benton ponuro pokręcił głową. Nie mieli już kolejnych asów w rękawie. Aby usiąść na Kallisto, potrzebowaliby nie jednej rakiety, ale trzech, a i tak manewr ten z pewnością byłby gwałtowny i pełen ryzyka.

Właśnie wtedy, gdy obaj zawzięcie dyskutowali, omawiając sposoby i środki realizacji zadania, odnaleźli ich admirał i kapitan Dongan. Allyn ocucił ich i powiedział, gdzie mogą znaleźć Bullarda.

— Dobra robota, Bullard — oznajmił kapitan Mike. — Admirał obiecał specjalne wyróżnienie dla ciebie. Powiedz mi, jaki jest dokładny stan statku, a ja cię zmienię. Pierwszą rzeczą, jakiej zażądał admirał, jest zaimprowizowane radio, żebyśmy mogli wezwać holowniki. Jak tylko będzie ono gotowe, możesz iść i odpocząć. Przejmuję teraz dowodzenie.

— Nie, sir — zaprotestował gorąco Bullard. — Żądam prawa do kontynuacji. Wrzucili nas w to bagno w ramach testu. No cóż – test jeszcze nie został zakończony. Zgodnie z zasadami, jeśli wezwiemy pomoc, przegrywamy. Nie możemy…

— Nie przegraliśmy — powiedział cicho kapitan Mike. — Zadanie zostało anulowane. Nieprzewidziany rozwój wydarzeń…

— Tak! — zawołał Bullard podnosząc głos prawie do krzyku, tak był wzburzony konsekwencjami. — O to właśnie chodzi – nieprzewidziany rozwój wydarzeń i *Polluks* sobie z nim nie poradził! Tak właśnie powie cała flota kosmiczna i śmiać się z nas będzie każda mesa od Plutona do Merkurego. Jeśli pozwolimy im odwołać całą sprawę teraz, wszyscy jesteśmy załatwieni i koniec z naszą opinią najlepszego statku w całym…

Bullard zachowywał się nieco histerycznie i był zupełnie nieświadomy swej pozornej niesubordynacji. Wiele przeszedł i nerwy miał mocno nadwyrężone oraz drażliwe, ale od wielu godzin koncentrował się na tym

problemie i nie był w nastroju, aby pozwolić się odsunąć na bok. To do niego należało znalezienie wyjścia – i musi znaleźć wyjście, w taki czy inny sposób. Każde inne rozwiązanie wiązało się z upokorzeniem *Polluksa*, przyznaniem się do porażki, a to było nie do pomyślenia. W końcu na czym polegał ten nieprzewidziany rozwój wypadków, który ich załatwił? Podtlenek azotu! I co z tego? To było uzasadnione zagrożenie. Mogło powstać także w innych, bardziej normalnych warunkach, i należało się z nim uporać. Odwołanie testu w tej chwili byłoby po prostu kryciem się za alibi, i to słabym. To Bullard był oficerem, którego arbitrzy wybrali na świnkę morską, i nie mógł zrezygnować. Widział, że stawką była nie tylko reputacja statku, ale także i jego osobisty honor.

Wypływały z niego gorące słowa, lekkomyślne słowa – brzmiące buntowniczo, ale kapitan Mike słuchał ich z powagą. Spojrzał w zamyśleniu na swojego porucznika.

— Podoba mi się twój duch, Bullard, ale to nie ma znaczenia. Teraz nie ma wyjścia. Jest już za późno. A jeśli chodzi o twoją reputację, to nie obawiaj się…

— Och, to nie o to chodzi, sir… — Bullard był bliski łez.

— Niech chłopiec postawi na swoim — wtrącił admirał. — Jego stanowisko jest słuszne. Osobiście uważam, że to strata czasu, ale nie chcę aby ktoś powiedział, że odmówiłem sprawiedliwości któremuś z ludzi. Jeśli uważa, że zdoła się stąd wyrwać, niech spróbuje. Daję ci jeszcze dwadzieścia cztery godziny na rozwiązanie problemu, Bullard, i w tym czasie nie będę stawiał żadnych przeszkód. Powodzenia!

Jeśli jeszcze przed chwilą, Bullard był bliski łez z wściekłości i złości, to powód, dla którego teraz kilka z nich spłynęło mu po policzkach, był zupełnie inny. Pierwszą emocją, jaka go przepełniła, była radość. Ale po chwili ustąpiła ona miejsca uczuciu obawy, kiedy oczywiste stało się dla niego pełne znaczenie tego, co się wydarzyło. Uświadomił sobie, że nalegając na doprowadzenie zadania do końca, postawił zarówno siebie, jak i *Polluksa* pod ścianą. Wcześniej przynajmniej mieli wyjście – wiarygodne i oficjalnie akceptowane alibi. Jeśli teraz zawiedzie, statek zawiedzie razem z nim. Uderzyły go wyrzuty sumienia. Czy osobista próżność nie prowadziła go do kompromitacji nazwy statku, z którym tak bardzo się związał? To była otrzeźwiająca myśl. Teraz wiedział jasno, jak nigdy wcześniej, że musi mu się udać. Tylko wtedy, gdy *Polluks* bezpiecznie spocznie w porcie, będzie mógł uwolnić się od odpowiedzialności.

Ta myśl była najlepszym stymulatorem, jakiego potrzebował. Jakby cudem opuściło go zmęczenie i kilkoma zwięzłymi słowami udało mu się przekazać Bentonowi i jego pomocnikom odrobinę tego ognistego ducha, który go ożywiał. Co do jednego, wszyscy wiedzieli, że wymówki na nic się nie przydadzą – muszą doprowadzić okręt.

Wokół uziemionego krążownika zgromadziła się grupa zainteresowanych widzów. Za powszechną zgodą zasady zostały

złagodzone pod tym względem, że „polegli" mogli patrzeć i rozmawiać, pod warunkiem, że nie przeszkadzali. Od poległych Polluksowców dolatywały słowa otuchy – cała załoga kibicowała im, podczas gdy Kastorowcy od czasu do czasu pozwalali sobie na różne dowcipy na temat skali problemów stojących naprawiającymi. Admirał, mimo całej swej wielkoduszności, był rozdrażniony i niecierpliwy. Następnego wieczora umówił się na kolację z gubernatorem Kallisto i denerwowała go myśl, że może się na niej nie pojawić. Kastorowcy również nie mogli doczekać się powrotu na swoje śmieci. Pragnęli wrócić na pokład własnego okrętu, ponieważ w ciągu ostatnich kilku godzin zorientowali się, że ten wspaniały statek ma wiele do zrobienia. Jego inspekcja – przez Polluksowców – była zaplanowana na następny tydzień.

Bullard zawzięcie ignorował ich wszystkich. Otworzył właz ładunkowy na stępce i z dolnej ładowni jego ludzie wyciągnęli pięć ogromnych, długich cylindrów. Używając ciężkich wyciągarek, w słabym świetle słonecznym Układu Jowisza, ułożyli je obok *Polluksa*. Dalej, od strony rufy rozstawiono ciężkie trójnogi, a wiertła z diamentowymi końcówkami wgryzły się w rodzime żelazo małego satelity. Inni ludzie usiedli wysoko na rufie, wciskając przenośne rozwiertaki w poszarpane tunele obudów rakiet, usuwając resztki starych rur. Chinnery i Roswell, główni inżynierowie *Polluksa* i *Kastora*, stali obok i przyglądali się.

Chinnery nie okazywał radości, widząc tego młodego oficera z działu artyleryjskiego, tak śmiało poczynającego sobie z materiałami zapasowymi, ani nawet nie zadał sobie trudu, by kryć pogardę dla przedsięwzięć tego ostatniego.

— Zapasowe tuleje do rakiet starego typu — wyjaśnił Roswellowi. — Zapomniałem już, że mam ten zestaw. Ale na nic mu się nie przydadzą. Są za duże. Wozimy je, bo to żelastwo jest za wielkie, żeby się go gdziekolwiek pozbyć, ale ich zamontowanie wymaga dobrze wyposażonej stoczni. Wsadzając rury w obudowy, trzeba je mocno ścisnąć, wiesz, żeby były ciasno dopasowane.

Roswell skinął głową. Jako rywal chętnie by zobaczył, jak praca kończy się niepowodzeniem. Jak do tej pory *Polluks* odparował wszystkie wymyślone przez niego druzgocące uszkodzenia. Miał nadzieję, że utkną na tym prawdziwym.

Bullard jednak ani nie wiedział, ani nie dbał o to co mówią. On i Benton siedzieli na szczycie jednej z ogromnych rur, manipulując parą gigantycznych zacisków. Wiedzieli wcześniej, że nowe rakiety są za duże, ale plany wciśnięcia ich w obudowy były w tym momencie w trakcie realizacji. Koło rufy statku w żelaznym podłożu wywiercono zestaw otworów, a teraz ludzie zastąpili wiertła grubymi gwintownikami. Ci, którzy wcześniej wynieśli rakiety z magazynu, wrócili na statek, wyciągając z ładowni setki sążni łańcucha o dużej wytrzymałości – przewożonego na rzadki wypadek holowania ciężkich obiektów.

Ludzie w silnikach poinformowali, że ich praca została zakończona, ale Bullard zmarszczył brwi, kiedy odczytał otrzymaną końcową średnicę. To było za mało. Gorąco żałował że nie ma olbrzymiej tokarki, żeby móc zestrugać masywne rury. Ale taka tokarnia była najbliżej w Ursapolis.

Musiał w jakiś inny sposób zmniejszyć zewnętrzną średnicę tulei nowych rakiet.

Wypuścił trochę powietrza ze statku, przez otwory po jego zacienionej stronie, zebrał skroplony gaz w wiadrach i oblał rakiety zimnym ciekłym powietrzem, ale nawet gdy skurczyły się do minimalnych rozmiarów, nadal były za duże. Było to rozczarowanie, ponieważ miał mało czasu na prawdziwą pracę i nie mógł go tracić na eksperymenty. Gwintowanie otworów zostało już zakończone, ludzie pozakładali w nich ciężkie śruby oczkowe i teraz przeciągali przez nie łańcuchy, przygotowując się do zamocowania statku aby się nie unosił się pod naporem pchnięć wielkiego podnośnika hydraulicznego, który umieszczony został za jego rufą. Ale nadal rury rakiet były zbyt grube. Nawet gdyby taran był wystarczająco silny aby je wcisnąć na siłę, łańcuchy by się zerwały. Musiał zmniejszyć opór, jednak w chwili obecnej nie widział innego sposobu aby tego dokonać, poza rozgrzaniem silników, a tego nie chciał robić, ponieważ kontrola pokazała już niebezpiecznie małą ilość paliwa. Zużytkowali je hojnie podczas ucieczki z Jowisza. Płynnego wodoru było zaledwie tyle, aby wyrzucić ich z satelity i skierować w drogę do portu, z niewielkim marginesem na lądowanie.

Benton pokręcił głową, gdy zapytał go o możliwe źródła paliwa zastępczego. Cały uran został utracony za burtą, gdy zerwali przewody zasilające przy pełnym ciśnieniu ciągle doprowadzanego paliwa. Było to wtedy konieczne, a teraz rozpamiętywanie tej straty nie miało sensu.

Bullard usiadł i zbadał w myślach statek, sprawdzając jeden po drugim zawartość magazynów. Nie było niczego, co mógłby użyć, i nie miałoby to jakichś dyskwalifikujących wad. Ammonalu było pod dostatkiem, ale miał wątpliwości co do jego bezpieczeństwa. I wtedy nagle, pojawiło się rozwiązanie.

— Zaczynaj, ustaw pierwszą rurę — polecił. — Numer 1. Potem wyślij wszystkich ludzi, bez których sobie poradzisz, do pęcherza dziobowego – wyrwijcie kilka ton tej stalowej wełny. Tego właśnie użyjemy.

Całkiem ładnie to płonęło, obudowa rakiety wypchana stalową wełną, puszystą i nasyconą ciekłym powietrzem. Pod ogromnym napływem ciepła obudowa poczerwieniała i spuchła, przygotowany koniec pierwszej tulei rakiety skierowano w jej otwór i wprawiono w ruch wielki lewar. Pchał ją do góry, statek napinał się w łańcuchach, ale ich uchwyty osadzone w twardym żelaznym podłożu, wytrzymały, i drżący *Polluks* musiał przyjąć swoją nową rakietę. Nie mógł się uchylić przed naporem tarana podnośnika.

Jedna po drugiej kolejne tuleje zostały ustawione i bez trudu wbite na miejsce, a gdy otaczające je obudowy stygły, kurcząc się ściskały rakiety, dopasowując się tak samo ściśle i dokładnie, jakby zostały zamontowane w którejś ze stoczni Układu Słonecznego, z całym ich doskonałym wyposażeniem. Bullard nie miał żadnych wątpliwości co do wiarygodności ich działania. Nawet nie drgną.

Na godzinę przed planowanym terminem, ostatnie narzędzia znalazły się z powrotem na pokładzie, a ostrzegawcze wycie zapowiedziało rychły start. *Polluks* wyrzucił z siebie ogień – staroświecki ogień, jakiego używano na *Azji* – a potem z rykiem ruszył w górę, rozpoczynając swój lot do domu.

— Proszę to wysłać — rozkazał ostro admirał zmęczonemu, ale zadowolonemu pełniącemu obowiązki kapitana *Polluksa*.

Bullard popatrzył na niego zdziwiony. Radio zostało naprawione, ale dlaczego admirał chciał wysłać jakiś sygnał? Przecież holowniki nie były teraz potrzebne. Za godzinę będą na miejscu – na długo przedtem, zanim mógłby zostać rozgrzany jakikolwiek holownik. Ale wziął sygnał, ponieważ admirał go podał, i przeczytał. Był zaadresowany do wszystkich statków i stacji, oraz rozpoczynał się od słów: „W dniu dzisiejszym dokonałem inspekcji krążownika *Polluks* i stwierdziłem, że jest gotów pod każdym względem na wszelkie ewentualności związane ze służbą…”

W tym momencie miała miejsce pierwsza ofiara rejsu, która dotknęła Bullarda. Coś było nie tak z jego oczami i przez chwilę wiadomość w jego dłoniach była tylko zamazaną plamą. Dostrzegł jeszcze słowa „specjalna pochwała” i wzmiankę o komandorze Bullardzie, a potem dotarł do znajomego podpisu – Abercrombie. Zauważył, że wynik statku to równe cztery-zero i w tej chwili tylko to go obchodziło. Okręt zdobył swoją ocenę.

KONIEC